

Jennifer Greene

Na krawędzi snu

Rozdział 1

Bree była specjalistką w błędzeniu. Robiła to często i z fantazją. Boczne drogi miały w sobie o niebo więcej uroku od bezdusznych autostrad i pal licho opały, w jakie się niekiedy popadało, wybrawszy niewłaściwy zakręt. Zazwyczaj opłacało się działać pod wpływem impulsu. Bez tej odrobiny ryzyka, tej szczypty kuszenia losu, tego niewinnego zakręcenia kołem ruletki, życie byłoby beznadziejnie nudne.

Ale dzisiaj wieczorem zaczynała jednak odczuwać lęk – ściskający w dołku, przyprawiający o szybsze bicie serca, wpełzający w palce nieprzyjemnym chłodem.

Niebo przeciął nagle zygzak błyskawicy. Łoskot gromu, który przetoczył się w chwilę potem, wstrząsnął starym volkswagenem. Deszcz siekł przednią szybę z taką ślepą zaciekłością, że poskrzypujące wycieraczki nie nadążały z jej osuszaniem. Niebo było czarne niczym sklepienie pieczary – nic dziwnego, zważywszy, że zbliżała się północ – a nawierzchnia żwirowej drogi przeistaczała się z wolna w błotnistą breję. Każdy rozsądny kierowca dawno już by z niej zjechał.

Bree nie marzyła o niczym innym, ale nawałnica otaczała ją dosłownie zewsząd. Zjechać z drogi niczego nie rozwiązywało, pogorszyłyby tylko i tak już niewesołą sytuację. Od godziny wypatrywała końca burzy jak zbawienia. Nadaremnie. Rozglądała się za jakimś zabudowaniem – motelem, stacją benzynową, domem – gdzie mogłaby znaleźć schronienie. Bez rezultatu.

Kolejna seria błyskawic rozświetliła niebo, na chwilę wyłuskując z mroku posępny pejzaż Parku Narodowego Badiands w Południowej Dakocie. W czasie szalejącej burzy okolica wyglądała niesamowicie i obco, do złudzenia przypominała księżycowy krajobraz. Skalne monolity, zalewane co chwila powodzią światła, mieniły się upiornymi barwami. Otaczało ją posępne, rozciągające się na wiele kilometrów pustkowie, urozmaicone gdzieniegdzie pofałdowanymi wzgórzami, pocięte jarami o stromych ścianach – i jak okiem sięgnąć ani śladu życia.

Nie była to sceneria dla bojaźliwych, ale Bree Reynaud nikt nie mógł zarzucić tchórzostwa. Urzeczona surowym pięknem Badiands włączyła się po okolicy od późnego popołudnia. Tuż przed zachodem słońca na niebie zaczęły się gromadzić ogromne, ciemne chmury. Zauważyła to; zdawała sobie sprawę, że nadciąga burza, ale nawet przez myśl jej nie przeszło, by poszukać schronienia. Widok był wspaniały, pozostawiał niezatarte wrażenie.

Nie żałowała teraz, że tak długo go podziwiała. Ale była to jedna z tych nielicznych w jej życiu chwil, kiedy wyrzucała sobie, że pozostawała kiedyś głucha

na nauki taty. Raoul Reynaud wychodził ze skóry, byle tylko wpoić ostrożność swemu najmłodszemu dziecku.

Jego trud poszedł na marne, niestety. Przednia szyba znowu zaparowała. Pochylając się, żeby ją przetrzeć ostatnią już chusteczką higieniczną, Bree oderwała na chwilę jedną rękę od kierownicy. Koła wybrały sobie akurat ten moment, żeby wtoczyć się w kałużę. Bree, klnąc pod nosem po cajunsku, chwyciła oburącz kierownicę, by wyprowadzić wóz z poślizgu. Kiedy w końcu odzyskała nad nim panowanie, dłonie i czoło miała wilgotne od potu.

Nie, to nie był lekki niepokój. Bała się jak diabli. Zatrzyma się w pierwszym napotkanym miejscu, gdzie będzie można przeczeakać najgorsze. Choćby w jaskini. Gdziekolwiek.

Kolejny zygzak błyskawicy przeorał ciemności tak blisko, że poczuła silną woń ozonu. Takiego ryku grzmotu, jaki nastąpił po chwili, Bree jeszcze nie słyszała. Nie była przesądna, ale pochodziła przecież z Luizjańskich moczarów. Może to omen.

Może już pora, by przestała się wałęsać.

Może dla dwudziestosiedmioletniej kobiety już czas, by się ustatkować i poważnie pomyśleć o przyszłości.

Może byś się tak na razie skupiła na ratowaniu skóry, Reynaud, upomniała się w myślach. Uchyliła boczną szybę. Przez powstałą szparę natychmiast wdarły się do środka igiełki zimnego, zacinającego deszczu, mocząc lewy rękaw jej czerwonego swetra. No trudno.

Bez dopływu powietrza z zewnątrz przednia szyba będzie wciąż zaparowana. Wycieraczki odgarnęły nową kaskadę wody... i w tym momencie dostrzegła skupisko masywnych, mrocznych cieni.

Wcisnęła hamulec i cofnęła wóz, żeby jeszcze raz rzucić na nie okiem. Teraz była już pewna. W odległości kilkuset metrów od drogi majaczyły w ciemnościach jakieś zabudowania. Skręciła i natychmiast okazało się, że prowadząca tam polna dróżka jest równie przejezdna, jak rozmokły tor saneczkowy, ale to jej nie zniechęciło. Wreszcie jakiś dach nad głową. Nawet alchemik na widok złota nie wpadłby w podobną euforię.

Kiedy jednak zatrzymywała wóz na końcu długiej drogi dojazdowej, euforię zastąpiła konsternacja. Wokół rozciągały się pola uprawne, założyła więc z góry, że natknęła się na farmę. Owszem, te kilka zabudowań po obu stronach domu może i było budynkami gospodarskimi – w panujących ciemnościach nie dało się tego stwierdzić z całą pewnością – ale sama siedziba gospodarza przypominała zamczysko Drakuli.

Pretensjonalne zamczysko. Ten budynek wtopiłby się może w krajobraz alpejski, ale pośrodku Badlands wyglądał po prostu idiotycznie. Dwa okazałe piętra z ciemnoszarego kamienia, z wymyślnymi szybkami ze szkła ołowiowego w oknach, a wszystko to zwieńczone gotyckimi wieżyczkami. Po obu stronach masywnych drzwi frontowych przycupnęły dwa kamienne lwy – żadne tam dzieła sztuki rzeźbiarskiej, za to wielkie – a dziedziniec można by przyrównać do dziewiczej prerii, ani jednego krzaczka czy drzewka. Same chwasty.

W najlepszym wypadku, przemknęło Bree przez myśl, jest to domostwo jakiegoś ekscentrycznego starucha. Zarzuciła na ramię pasek torebki, ale nie otwierała jeszcze drzwiczek. Nie tyle się bała, co była doszczętnie skonana. Czy zdoła jeszcze wykrzesać z siebie dość energii, by mizdrzyć się przed jakimś zdziwaczalym dziadygą?

Kolejny zygzak błyskawicy rozświetlił niebo. Wygramoliła się z wozu, zawierając w myślach pochopny układ z Panem Bogiem. Przez resztę życia będzie już rozsądniejsza, będzie ostrożna, będzie grzeczna... jeśli tylko ten dziwak pozwoli jej przeczekać noc w jednej ze swoich stodół.

Narzuciwszy sobie na głowę drelichową kurtkę, przebiegła niewielką odległość, jaka dzieliła ją od sfatygowanych dębowych drzwi frontowych. Kiedy zaczęła w nie walić pięścią, była już przemoczona do suchej nitki.

W oknach po obu stronach drzwi paliło się światło, ale na jej walenie nikt nie reagował. Załomotała jeszcze raz, po czym szarpnęła klamkę. Zamknięte.

Zabębniła znowu, tym razem głośniej i mocniej. Strużki wody ściekały jej po brwiach, kleiły się jak pajęczyny do rzęs, zwilżały usta. Wygląda pewnie jak podtopiony szczur. W normalnych okolicznościach zbytnio by się tym nie przejmowała. Figury nie miała, co prawda, idealnej, ale po swych przodkach, Cajunach, [Cajun – mieszkaniec stanu Luizjana, będący potomkiem przybyszów z dawnej kolonii francuskiej Acadia (dzisiejsza Nowa Szkocja).] odziedziczyła czarne włosy, niebieskie oczy i skórę białą jak magnolia. Zresztą samotnie podróżującej kobiecie wystrzałowa prezencja mogła przysporzyć kłopotów. Dzisiaj jednak obawiała się, że swoim wyglądem zmokłej kury zrazi do siebie gospodarza.

Nadal żadnej reakcji. Zamierzyła się, by po raz ostatni rąbnąć pięścią... i omal nie upadła, bo w tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie.

Zagajenie miała gotowe – przeprosiny za zakłócenie spokoju, prośba o dach nad głową. Może spać w stodole, gdziekolwiek. Nie jest złodziejką. Zabłądziła tylko. Za wszystko zapłaci.

Otworzyła już nawet usta, ale głos uwiązł jej w krtani. Była przekonana, że

gospodarzem okaże się zasuszony, zdziwaczały staruch, tymczasem... Patrzący na nią spode łba mężczyzna nie był ani zasuszony, ani stary. Wyglądał tak, jakby dopiero co zjawił się tu prosto z Wall Street. W sercu zabitej dechami prowincji on nosił spodnie od garnituru, skórzane mokasyny i elegancką koszulę. Była północ; on paradował wciąż pod krawatem. Bree przemknęło przez myśl, czy czasem nie kładzie się też do łóżka ze swoim neserem i zafascynowała ją ta wizja.

Podczas swych wojaży natykała się na różne typy ludzkie, ale rzadko zdarzało się jej spotkać *gros chien* – sztywniaka takiego jak ten, na takim odludziu. Wcale by jej nie dziwiło, gdyby ów potencjalny dobroczyńca okazał się być bliskim krewnym granitowych lwów z frontowego ganku.

Na swój sposób był nawet przystojny, jednakże nie każdy zauważyłby to na pierwszy rzut oka. Ponurać miał wypisane na czole. Był wysoki i smukły, miał włosy koloru piasku i wyrazistą twarz o wydatnych kościach policzkowych, sterczącym nosie i kwadratowym, silnie zarysowanym podbródku. Rysy twarzy zdradzały, że ten człowiek, przypuszczając szarżę, kontynuuje ją aż do zwycięstwa. Ani śladu pogodnego usposobienia. Ani śladu łagodności. Oczy miał cudowne – ciemnoszare, przenikliwe, inteligentne – ale ich spojrzenie było twarde. Wyglądał na gotowego pożreć każde słabsze stworzenie, podobnie jak zwierzęta, których wyrzeźbione postacie zdobiły jego dom.

Ludzie zawsze wzbudzali w Bree nieposkromioną ciekawość. On najwyraźniej nie cierpiał na tę przypadłość. Zimnym spojrzeniem zmierzył od stóp do głów jej przemoczoną postać, a jedynym komentarzem, jakim skwitował ten żaloszny widok, było treściwe „cholera”. Wyciągnął błyskawicznie rękę i w sekundę później drzwi zatrzasnęły się za Bree z głuchym łoskotem zamykanego na wieki grobowca.

Wszystko wskazywało na to, że nie jest tutaj zbyt mile widziana.

Rozważała przez chwilę możliwość ujęcia się honorem i wycofania w burzliwą noc, ale w mrocznym holu było tak rozkosznie ciepło i sucho, a Lew, choć obcesowo, najwyraźniej oferował jej gościnę. Przywołała na usta swój najbardziej czarujący uśmiech i wyciągnęła rękę.

– Nazywam się Bree Reynaud, panie...

– Simon. Simon Courtland.

Skinęła głową. Prawdopodobnie nie zauważył jej wyciągniętej ręki.

– Strasznie przepraszam, panie Courtland...

– Nie musi się pani tłumaczyć – uciał niecierpliwie. – Przecież widzę, że burza panią zaskoczyła. Jak do tego doszło i dlaczego, to teraz mało istotne. Niech pani tu zaczeka. Zaraz wracam.

Oddalił się niespiesznie mruczając pod nosem, że tylko tego mu brakowało i że ciekawe, co też jeszcze się zdarzy. Bree patrzyła za nim odgarniając z oczu niesforne kosmyki mokrych włosów. Wrócił po kilku minutach i zdecydowanym ruchem przewiesił jej przez rękę koc, potem ręcznik, a na koniec męską koszulę.

W pierwszej chwili nie bardzo rozumiała, po co jej ta koszula, ale zaraz domyśliła się, że pewnie ma w niej spać. Jeśli chodzi o gościnność, było to więcej, niż oczekiwała – i wyraziłaby swą wdzięczność, gdyby tylko gospodarz pozwolił jej na to.

– Ten dom stał od miesiący pusty, nie nadaje się właściwie do zamieszkania. Będzie się pani musiała zadowolić tym, co jest – burknął niechętnie. – Parter ma układ litery L. Za salonem i gabinetem jest pokój wypoczynkowy. Stoi tam kanapa, na której można się przespacerować, ale z góry uprzedzam, że jest twarda jak kamień.

– To mi nie przeszkadza, naprawdę...

– W zachodnim skrzydle, za jadalnią i kuchnią, jest łazienka. Niech pani weźmie gorący natrysk, zanim dopadnie panią zapalenie płuc. Ubranie można wysuszyć na kaloryferach. Jest tu, co prawda, suszarka do odzieży, ale nie działa.

– Nic nie szkodzi, ja...

– Jeśli krępuje panią moja obecność, to rozproszę pani obawy. Pracuję na górze. Niech się pani tylko nie zbliża do schodów, to nie będziemy sobie wchodzić w drogę. A co z samochodem?

– Z moim samochodem?

– Leży w rowie?

– Nie, ja...

– Rozkraczył się gdzieś na drodze?

Nie bardzo wiedziała, dlaczego ten grad poleceń i pytań, które wyrzucał z siebie szybko jak z karabinu maszynowego, tak ją zatyka.

– Nie, mój samochód jest na chodzie. Nie mogłam tylko dalej jechać ze względu...

– Ze względu na burzę, no jasne. Szczegóły pani perypetii są z pewnością bardzo interesujące. – Jego ton świadczył, że jest całkowicie odmiennego zdania. – Skoro wóz jest sprawny, to chyba nie będzie miała pani rano żadnych kłopotów z odjazdem, zanim wstanę. Niech pani zostawi wszystko tak, jak zastała, i będziemy kwita. Jeśli ma pani jeszcze jakieś pytania, to słucham.

– Nie, nie mam – bąknęła Bree i nie mogła się powstrzymać, żeby nie dorzucić: – sir.

Nie zwrócił uwagi na ten przytyk. Badawczym spojrzeniem ciemnych oczu ogarnął ją całą centymetr po centymetrze. Nie uczynił tego w sposób, w jaki mężczyzna

taksuje kobietę, zrobił to raczej jak naukowiec obserwujący pod mikroskopem pierwotniaka. Bree usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mężczyzna potraktował ją jak dokuczliwego mikroba. Chociaż Simon nie zdawał sobie z tego sprawy, swoim sposobem bycia cudownie podnosił ją na duchu. Gdyby gustował w przemoczonych brunetkach, kto wie, czy sytuacja nie wymknęłaby się spod kontroli. Ale to jej najwyraźniej nie groziło.

– Zakładam, że podróżuje pani sama? – spytał dociekliwie.

– Tak. – Jej zdaniem było to oczywiste, ale widocznie nie dla niego.

– Proszę mi szczerze wyznać, czy nie zamierza pani czasem przeschmuglować tu z samochodu jakiegoś waleta – człowieka albo zwierzę.

– Daję słowo, że nie. Nie wożę w bagażniku żadnych kotków, piesków ani pasożytujących na mnie przyjaciół – odparła grobowym głosem.

Przeszył ją świdrującym spojrzeniem i przez ułamek sekundy miała wrażenie, że maska okrywająca jego twarz zaraz pęknie i wyłoni się spod niej uśmiech, ale były to próżne nadzieje. Nic nie było w stanie skruszyć tych granitowych rysów i nie ulegało wątpliwości, że kiedy panu Courtlandowi wyczerpywał się repertuar rozkazów, najwyraźniej kończył się również temat do rozmowy. Mruknąwszy formalne „dobranoc” odwrócił się do Bree plecami i wstąpił na wydeptane schody, prowadzące na podest rozchodzący się na dwie strony.

Bree patrzyła za nim, nawet kiedy zniknął jej już z oczu.

Była wciąż przemoczona i ociekała wodą, a mimo to, zamiast dygotać z zimna, czuła się rozpalona. Bez żadnego wyraźnego powodu policzki jej spłonęły rumieńcem, a serce waliło jak młotem.

Gospodarz był, bez dwóch zdań, człowiekiem intrygującym. Nie brała sobie zbytnio do serca jego szorstkości i obcesowości. Niby czemu miałby się cieszyć z wizyty kłopotliwego, nieproszonego gościa. Zauważyła jednak jego ściągniętą twarz, pooraną bruzdami wyczerpania. Wywarł na niej wrażenie człowieka przypartego do muru, znajdującego się od dłuższego czasu pod wielką presją. Nawet sztywny, władczy typ czasem się uśmiecha. Kto cię tak zniechęcił do życia, sir?

Zamknęła oczy i westchnęła. Wrażliwość to zła cecha charakteru. Problemy Simona nie powinny jej obchodzić, z drugiej jednak strony...

Zdecydowanym ruchem odgarnęła z czoła mokre kosmyki włosów i ruszyła na poszukiwanie natrysku. Staroświecką łazienkę, wyłożoną upiornie purpurowymi kafelkami, znalazła zaraz za kuchnią. Zrzuciła z siebie szybko przemoczone ubranie i weszła pod gorący prysznic.

Po kilku minutach, czysta, rozgrzana i sucha, stanęła przed zaparowanym lustrem

i naciągnęła na siebie koszulę Simona. Mimo że miała ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, koszula wisiała na niej jak na szczotce, a rękawy musiała podwinąć trzykrotnie, zanim wreszcie ujrzała swoje dłonie. Pan Courtland był istnym olbrzymem i zakładała, że materiały jego ubrań są tak samo sztywne i szorstkie jak ich właściciel. Ale tu mile się rozczarowała. Skórę jej pieściło miękkie płótno.

Natrysk powinien był ją zrelaksować, wciąż jednak czuła się wykończona i to tym złym rodzajem zmęczenia. Nadal odczuwała skutki jazdy przez szalejącą nawałnicę, ale ten dom rozbudził jej wrodzoną ciekawość.

Znalazła pokój wypoczynkowy, gdzie miała przenocować, i rozwiesiła na grzejniku mokre części garderoby. Potem, na palcach, nie ryzykując zapalenia światła i zadowolając się poświatą, która sączyła się z korytarza, wyruszyła na rekonesans.

Ten dom nie należał do Simona. Zdecydowanie. Bree nie wyciągała nigdy pochopnych sądów o ludziach, nie ulegało jednak wątpliwości, że Courtland jest typowym współczesnym biznesmenem. Tu zaś nie było chromu, przestrzeni, nie było sterylnie czystych powierzchni, a na dodatek nie rozpakowana walizka świadczyła, że przybył tutaj stosunkowo niedawno.

Atmosfera tego niesamowitego, starego domu sprawiała, że ciarki przechodziły po plecach. Kojarzył się z siedliskiem duchów i prowokował do snucia fantastycznych wizji. Deski podłogi skrzypiały. Wiatr świstał w szparach. Z sufitu zwieszały się pajęczyny, a stłoczone, stare meble – kanapy na fantazyjnie powyginanych, szponiastych nogach, stoliczki ozdobione serwetkami i figurynkami, żyrandole z dyndającymi szklanymi wisiorami – pokrywała gruba warstwa kurzu.

Ze wszystkich pomieszczeń, do jakich zaglądała, tylko gabinet okazał się być zamknięty na klucz. Reszta pokoi stała otworem. Podłogę salonu pokrywał gruby, wytworny, na oko stuletni orientalny dywan. Piec w kuchni – wzniesiona z cegieł konstrukcja, za którą każda kucharka oddałaby życie, przylegał z jednej strony do spiżarni, z drugiej do komina i był wyższy od człowieka. Jadalnię wyposażono w staroświecką, poruszaną systemem lin i wielokrążków, ręczną windę do transportowania posiłków z kuchni.

Bree była tym wszystkim oczarowana. Nawet zegarem z pozytywką, który spod widmowych fałd zakurzonego białego całunu wybił świdrującymi kurantami pierwszą w nocy i śmiertelnie ją przeraził. Ten incydent położył kres rekonesansowi. Zbyt wielkie było ryzyko, że gospodarz usłyszy dziwne hałasy docierające z dołu i zejdzie, żeby sprawdzić ich przyczynę. Prześlizgnęła się cicho do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

Zdażyła już odkryć, że wyłącznik górnego światła nie działa, ale obok kanapy stała nocna lampa. Pokój był obstawiony półkami pełnymi książek, miał kominek i

pachniał starą skórą, kurzem oraz fajkowym dymem. Ścieląc łóżko stwierdziła, że Simon nie przesadzał: materac był twardy jak kamień. Nieważne. Sypiała już na twardszych. Zgasiła lampę, owinęła się w koc i zwinęła w kłębek.

Ciemności były kompletne, a w kominie zawodził potępieńczo uwięziony tam wiatr. Przekreśliła się na bok i materac zatrzeszczał. W blasku błyskawic tańczyły nieznajome cienie, a w okna biły wciąż fale zacinającego, zimnego deszczu.

Bree zamknęła oczy, ale sen nie nadchodził. Ten dom miał dobrą aurę, troszkę widmową, troszkę niesamowitą, ale jego ogólna atmosfera napawała poczuciem ciepła i bezpieczeństwa. To nie dom nie dawał jej zasnąć. To samotność.

Zbyt wiele obcych łóżek. Zbyt wiele nieznanymi miejsc. Rok bez wieszaka na kapelusze, rok włóczęgi, niezależności i chyba lekkomyślności, a o to rodzina miała do niej najwięcej pretensji. Tam zaś, skąd pochodziła, rodzina była wszystkim. Policzyła niedawno swoich bliskich krewnych i wyszło jej, że ma ich dobre dwie setki. A wszyscy mówili to samo: dwudziestosiedmioletnia kobieta powinna już się ustatkować, najlepiej wyjść za mąż i mieć dziecko. Albo przynajmniej dobrą, stałą pracę.

Przed rokiem, gnana żądzą przygód i chęcią sprawdzenia się, wyruszyła na włóczęgę po kraju. Z początku było cudownie. Boże Narodzenie na wybrzeżu w Południowej Karolinie, wiosna w Smoke Mountains, lato w Maine. Wielkie miasta, małe miasteczka – Ameryka we wszystkich swych odcieniach, z całą mozaiką typów ludzkich, z różnorodnością stylów życia. Chłoneła chciwie każde nowe doświadczenie.

Nie mogło to jednak trwać wiecznie. Bree od samego początku miała świadomość, że ucieka... i bardzo dobrze wiedziała przed czym.

Matthew nie był jej pierwszą pomyłką, ale to on okazał się kroplą, która przepełniła czarę. Miała już dosyć roli pierwszej naiwnej. Do tej pory była dla wszystkich na każde zawołanie. Dawanie było dla niej czymś naturalnym, tak jak zaufanie. Kiedy podaje się swoje serce na dłoni, zawsze znajdzie się mężczyzna, który będzie chciał to wykorzystać. A kiedy kobieta uświadamia sobie w końcu, że popełnia wciąż te same błędy, to powinna czym prędzej zrobić coś, by ten stan rzeczy zmienić.

Samotna włóczęga zahartowała ją, nauczyła ostrożności i trafniejszej oceny ludzi. Niezależność i samowystarczalność nie należą do cech wrodzonych. Kobieta musi sama je w sobie wyrabiać. Tak też uczyniła Bree.

Dlaczego więc wciąż jesteś w drodze, Reynaud? zadała sobie pytanie. Westchnęła, poprawiła poduszkę i z determinacją zwinęła się w jeszcze ciaśniejszy kłębek. Jutro się zastanowi nad przyczynami. Teraz jest już za późno, za ciemno i dają o sobie znać trudy długiego, wyczerpującego dnia. Odczuwała coraz dokuczliwszy ból w zmęczonych nogach, a jej świadomość zaczynała się rozplýwać w mętnej

zawiesinie senności. Opadały jej już ciężące powieki, kiedy nagle przypomniała sobie, że nie przekręciła klucza w zamku.

Uśmiechnęła się na tę myśl. Może i jest impulsywna, ale na pewno nie beztroska. Ilekroć zdarzało się jej nocować samej z kimś obcym, pierwszym jej odruchem było zawsze sprawdzenie, czy zamknęła drzwi na klucz. Tutaj tego nie zrobiła. Simon dobrze ją sobie obejrzał, a uczynił to z mniej więcej z takim samym zainteresowaniem, jakie okazałby chudej kurze.

Była bezpieczna. Szczerze mówiąc, tak komfortowo bezpieczna nie czuła się od ponad roku. I z tą myślą odpłynęła w krainę Morfeusza.

Otworzyła nagle oczy wyrwana z głębokiego snu. Spała godzinę, może dwie. Leżała na boku obejmując rękami poduszkę, jak to zawsze miała w zwyczaju. Nie zwykła jednak budzić się objęta w talii ramieniem mężczyzny, z pupą wtuloną jego twarde, umięśnione uda.

Gdyby z wrażenia nie zaparło jej na chwilę tchu w piersiach, wydałaby głośny, mrozący krew w żyłach krzyk. Ale strach ją sparaliżował.

Kiedy po chwili zdała sobie sprawę, że jednak nikt jej nie atakuje ani nawet nie próbuje tego zrobić, strach na tyle ją opuścił, że pozwolił przynajmniej zebrać myśli. Przywierające do niej męskie ciało leżało nieruchomo. Było ciepłe, bezwładne, oddychało i nie poruszało się.

Doszła już do siebie i mogłaby krzyczeć, ale teraz bardziej chciało jej się kłąć. Sądziła, że spędziwszy tyle czasu w drodze, wyrobiła już w sobie instynkt ostrzegający przed zagrożeniem ze strony mężczyzn.

Najwyraźniej jednak za wcześnie spoczęła na laurach, bo w tym przypadku pokpiła sprawę.

Przekręciła się gwałtownie na plecy. Manewr ten przyniósł niezamierzony skutek w postaci zsunięcia się koca, którym była przykryta, nie wywarł jednak najmniejszego wrażenia na śpiącym obok facecie. Tylko jego głowa przysunęła się trochę bliżej, a ręka powędrowała w górę i, napotkawszy obłóć jej prawej piersi, zatrzymała się tam poufale, jak gdyby była już zupełnie dobrze zorientowana co do jej kształtu i wielkości.

Zdaniem Bree nie było się czym podniecać.

Simon doszedł zapewne do tego samego wniosku, bo inaczej by nie zasnął.

Niedobrze, Reynaud. Deszcz przestał już łomotać w okna i w pokoju panowała nieznośna cisza. Przez zakurzone szyby sączyła się do środka blada poświata księżycy. Widziała wszystko, ale była jeszcze zbyt otumaniona snem, by rozumować

logicznie. Tylko nad czym tu się zastanawiać? Sytuacja jest jednoznaczna. Ma do wyboru dwa wyjścia: albo upomnieć go słownie, albo obudzić siarczystym policzkiem.

Po chwili zastanowienia zdecydowała się na wyjście drugie, ale tutaj zrodził się problem wykonawstwa. Leżąc na wznak, zaplątana w jego koszulę i w koc, przygnięciona ciężarem jego ramienia, nie mogła się zamachnąć. Podźwignęła się do pozycji półsiedzącej. Ręka Simona zjechała w dół i zatrzymała się na jej łonie. Zdjęta paniką spojrzała mu w twarz i z przerażeniem stwierdziła, że oczy ma otwarte.

Nie spał.

Ale wzrok miał jakiś dziwny.

Bree przeczesala palcami gęstwę zmierzwionych włosów. Nieznajomy, z którym los zetknął ją wieczorem, był dyktatorem o zimnych, beznamiętnych, twardych jak spiż szarych oczach. Mężczyzna leżący teraz obok niej był tak samo jak tamten smukły i muskularny, miał zdecydowane, wyraziste rysy, ale z jego ciemnych, teraz błyszczących podnieceniem oczu wзираła wrażliwa dusza.

Patrzył jakoś dziwnie.

Pomachała mu ręką przed oczami. Nawet nie mrugnął. Dotknęła jego ramienia. Skórę miał zimną, przeraźliwie zimną, i teraz dopiero zauważyła, że oprócz niebieskich spodenek nie ma na sobie nic. Przeszedł ją mimowolny i krepująco niestosowny dreszcz podniecenia. Zignorowała go i z pewnym wysiłkiem oderwała wzrok od tej muskularnej klatki piersiowej i szerokich barów.

Marzył, a mimo to nie próbował nawet sięgnąć po koc, by okryć nim swą nagość. I jeśli nawet miał początkowo zamiar ją uwieść – nie potrafiła sobie wyobrazić innej przyczyny, dla której wlaźiłby jej do łóżka – to najwyraźniej go zarzucił. Wszystko wskazywało na to, że śpi snem sprawiedliwego. Z otwartymi oczami.

To nie miało sensu.

Zdarzają się jednak chwile, kiedy kobieta nie musi mieć pełnego przeglądu sytuacji, by powziąć stosowne kroki.

– Do diabła, wynoś się z mojego łóżka, Courtland – warknęła gniewnie.

Bez ociągania – ale i bez gorączkowego pośpiechu – jego dłoń oderwała się od jej ciała. Zsunął obie nogi z łóżka na podłogę i wstał. Przez krótką chwilę na tle okna zamajaczył jego profil i Bree wzdrygnęła się mimowolnie.

Wyobrażała sobie lunatyka jako kogoś, kto porusza się jak robot, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Domyśliła się już, że Simon znajduje się w lunatycznym transie, ale w jego ruchach nie było tej mechaniczności, a w nim samym tego straszego chłodu, który zdążyła już poznać.

Był po prostu człowiekiem – kruchą ludzką istotą obarczoną brzemieniem trosk, a otaczająca go aura ciszy zdradzała Bree, jak jest wyobcowany i samotny. Wysoki, smukły, sunął bezgłośnie i płynnie, niczym skradający się włamywacz. Przekroczył próg i zniknął za drzwiami.

Wyobraziła go sobie, jak przez resztę nocy wałęsa się półnagi i zziębnięty po całym domu i omal za nim nie wybiegła.

Ale tym razem wykazała dość rozsądku, by okiełznać swoją impulsywność. Simon dał wyraźnie do zrozumienia, że nie chce mieć z nią do czynienia, a zresztą, co by w ten sposób osiągnęła? Swoją interwencją wprawiłaby go tylko w zakłopotanie. Jego problemy nie powinny jej obchodzić. Odrzuciła koc, wygramoliła się z łóżka, zamknęła drzwi i tym razem przekreśliła klucz w zamku.

Kiedy jednak ponownie owinęła się w koc i spróbowała zamknąć powieki, ujrzała zagubienie i smutek malujące się w jego oczach. Jak często spędzał te najciemniejsze godziny nocy na samotnych wędrówkach? Czego szukał? A jeśli coś sobie zrobi? Co to za stan, który każe człowiekowi chodzić we śnie, i czy w jego życiu jest ktoś, kto potrafiłby mu pomóc?

Retoryczne pytania. Fascynująco retoryczne pytania, na które pewnie nigdy nie pozna odpowiedzi.

Z irytacją podźwignęła się do pozycji siedzącej i oparła plecami o wezłowie łóżka. Za godzinę, dwie, zacznie świtać. Nie uśmiechało jej się wyruszać w dalszą drogę, dopóki nie wypocznie należycie, ale drzemiac na siedząco przynajmniej nie zaśpi. Zaczęło jej nagle bardzo zależeć na zadośćuczynieniu woli Simona i wyniesieniu się stąd, zanim on wstanie.

Co ją obchodzi ten Courtland? Nawet go nie zna. Ani jej się śni pakować znowu w kłopoty. Dawniej, widząc, że ktoś cierpi, bez zastanowienia śpieszyła mu z pomocą. I zawsze źle się to dla niej kończyło.

Senny głos wewnętrzny zwrócił jej uwagę, że robi z igły widły. Szkoda czasu na te refleksje. Jeszcze godzinka snu i w drogę.

Nie było się czym przejmować.

/

Rozdział 2

Od wielu godzin Bree ani drgnęła. Spała jak zabita, a jej sny zdominował drab w niebieskich spodenkach... Drab o zatroskanych, zrozpaczonych oczach, który ścigał ją pośród nocy i dopadł raz w mrocznym lesie, a potem na mokrej od rosy łące skapanej w poświęcie księżyca. Za każdym razem zdzierał z niej płócienną koszulę i brał bezlitośnie, bezwstydnie, z pełnym pasji wyuzdaniem. Był to obrzydliwie banalny sen.

Kiedy wreszcie zmusiła się do otwarcia powiek, stwierdziła z przerażeniem, że słońce stoi już wysoko na niebie. Po otumanionej głowie tłukła jej się tylko jedna myśl.

Musi stąd wyjechać.

Błyskawicznie złożyła w kostkę koc i zrzuciła z siebie koszulę Simona. Jej czerwony sweter, dzinsy i kurtka, schnąc na kaloryferze, przyjęły kształt jego żeberka i przypominały miechy akordeonu, ale były rozkosznie ciepłe.

Porwała skórzaną torebkę i ruszyła na palcach do drzwi, modląc się w duchu, żeby gospodarz chrapał jeszcze w najlepsze i żeby mogła bez skrepowania skorzystać z łazienki. W ustach miała sucho, a twarz domagała się porządnej porcji zimnej wody. Cicho jak złodziej przekręciła klucz w zamku i ruszyła korytarzem w kierunku kuchni. Za dnia dom wyglądał zupełnie inaczej. Był mniej niesamowity i bardziej przypominał zaniedbaną wiejską siedzibę, którą był w rzeczywistości. Bezlitosne słońce obnażało spękaną farbę na ścianach, rysy na drewnie i wszechobecne pokłady kurzu. Nad schodami powiewały pajęczyny uczezione mosiężnego żyrandola. Białe płachty, którymi poprzykrywano meble, potęgowały jeszcze panującą tutaj atmosferę opuszczenia, i nie po raz pierwszy Bree zastanowiło, skąd, u licha, wziął się tu Simon.

Po raz kolejny też upomniała się w duchu, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Przed samą kuchnią zatrzymała się nagle jak wryta. Jej uszu doszedł stamtąd cichy stukot, następnie brzęk garnka, a potem bez wątpienia głosy. Dwa głosy. Aż do tej chwili nie przyszło jej nawet do głowy, że w domu oprócz niej i Simona może przebywać jeszcze ktoś.

Pierwszy głos był chrapliwym, zmysłowym, modulowanym basem; rozpoznała go bez trudu. Drugi, cieniutki, należał niewątpliwie do młodej osoby płci żeńskiej.

– Zaraz po śniadaniu zatelefonujemy do twojej matki.

– Dobrze, tatusiu.

– Przepraszam ją za wszystko.

– Dobrze, tatusiu.

– Śmiertelnie ją przeraziłaś, a jesteś już na tyle dorosła, żeby zdawać sobie sprawę ze swojego postępowania, Jessico. Nie masz nic na swoje usprawiedliwienie. Ona bardzo cię kocha i chyba na tym polega połowa problemu. Wiadomo, że dzieci bardzo przeżywają rozwód rodziców, ale jej też nie jest lekko. Wykorzystujesz sytuację, od kiedy skończyłaś trzy latka. A ten ostatni strajk głodowy...

Określenie „strajk głodowy” zaintrygowało Bree.

Nie mogła się powstrzymać, żeby nie wyjrzeć zza węgła. Słyszając poważny, mentorski ton Simona zakładała, że jego słowa skierowane są do córki, i że ta córka jest nastolatką w wieku dyskotekowym.

Na kuchennym stole siedział pulchny, czteroletni brzdąc i machając w powietrzu nóżkami słuchał wykładu ojca z pełnym powagi skupieniem. Dziewczynka miała głęboko osadzone, szare oczy Simona, powiększone jednak przez małe okulary w niebieskiej oprawce. Odziedziczyła też po ojcu piaskowobrazowe włosy, z tym, że jego były starannie przycięte na modłę obowiązującą na Wall Street, jej zaś spadały niesfornymi, wijącymi się puklami na ramiona. Nosila pomarańczowe tenisówki włożone na bosc stopki, czerwone dzinsy i krzywo zapiętą bluzkę. O ile wzrok Bree nie mylił, usteczka miała pociągnięte jasnoróżową szminką.

– Zmierzam do tego, Jessico, że wracasz do matki. Nie możesz ze mną zostać.

– A właśnie że mogę – stwierdziła spokojnie dziewczynka. – Przecież tu jestem, no nie?

– Wiem, że tu jesteś, ale to wcale nie znaczy, że zostaniesz.

– A właśnie że znaczy.

– Nie, nie znaczy.

– A właśnie że znaczy.

– Jessico...

– Kto to jest, tatusiu?

Bree nie zamierzała wcale wchodzić do kuchni, ale jej uwagę przyciągnęło po pierwsze to dziecko, a po drugie samo wnętrze. Wieczorem ta cudowna, staroświecka kuchnia była idealnie wysprzątana i przypominała kucharski raj. Teraz po blacie walały się garnki, potłuczone skorupki jaj i brudne talerze.

Niesamowity rozgardiasz na piecu był chyba wynikiem nieudolnej próby usmażenia naleśników. Kiedy się nie powiodła, Simon usiłował najwidoczniej

przerzucić się na tosty. W zlewie piętrzył się stosik przypalonych kromek, a na podłodze stały kałuże wody.

To nie był bałagan, to było istne pobożowisko, na którego widok Bree miała ochotę parsknąć śmiechem. Ta ochota przeszła jej od razu, kiedy Simon obejrzał się szybko.

Natychmiast uświadomiła sobie, że jej namiętny uwodziciel nie ma najmniejszego pojęcia o swej nocnej eskapadzie. Najwyraźniej z nastaniem dnia Simon, podobnie jak wilkołak, nic nie pamiętał. Znowu był tym samym ważniakiem, który wczoraj otworzył jej drzwi. Idealnie odprasowane spodnie, świeża biała koszula, onieśmielający mars na czole.

Jednym spojrzeniem ogarnął jej wymięte odzienie, rozczochrane włosy i bose stopy. Było to spojrzenie wymowne. Nie spodziewał się, że jeszcze tu jest. Jego twarz przywodziła na myśl zbiegłych przestępców. Była zdesperowana, wymizerowana, ściągnięta. Podkrążone oczy, poszarzała ze zmęczenia cera. Może nie jadł i źle sypiał? A do tego cały ten dom, córeczka i stan kuchni... Bree ogarnęło współczucie. Nietrudno było odgadnąć, że Simon nie jest typem człowieka lubującego się w komplikacjach i bałaganie, a tkwił w nich najwyraźniej po uszy.

– Kto to jest, tatusiu? – powtórzyła Jessica.

– To pani Reynaud. Wczoraj wieczorem schroniła się tu przed burzą.

– I już wyjeżdżam – zapewniła go pośpiesznie Bree. – Ale jeśli wolno, skorzystam najpierw z...

– Proszę.

– Podoba mi się, jak pani mówi – poinformowała ją Jessica.

Bree konspiracyjnie puściła do małej oczko.

– A mnie się podoba, jak mówisz ty. – Lepiej było nie przeciągać tej rozmowy. Przemknęła szybko na palcach w kierunku łazienki ścigana ponurym, nieprzychylnym spojrzeniem Simona.

– Ona mówi cudownie – powiedziała Jessica do ojca.

– Tylko inaczej – poprawił ją natychmiast Simon.

– A to dlatego, że pochodzi z innej części kraju.

– A z jakiej?

– Gdzieś z południa. Nie wiem. To nie nasza sprawa i nie zmieniaj tematu, moja panno. Staaliśmy na tym, że...

– Umieram z głodu, tatusiu. Na chwilę zapadło milczenie.

– Przecież jedliśmy śniadanie. – Znowu cisza. – Boże.

– Westchnienie głośniejsze od powiewu wiatru. – No dobrze. Są jeszcze dwa

kartony produktów. Może uda nam się upichcić z nich coś jadalnego, a potem telefonuję do twojej matki.

– Dobrze, tatusiu.

Bree nie miała, naturalnie, zamiaru podsłuchiwać, ale nie było jej winą, że okienko nad staroświeckimi drzwiami łazienki było uchylone. Dochodzące z kuchni głosy zagłuszył dopiero szum puszczanej wody. Obmyła twarz, wyszczotkowała zęby i otworzyła torebkę, żeby poszukać kosmetyków. Cała ta procedura nie zajmowała jej nigdy więcej niż pięć minut, teraz jednak przeciągnęła się do dziesięciu.

– Widzisz to? Ma mnóstwo naturalnych witamin.

Urośniesz od tego duża, silna i zdrowa. A w tym jest pełno środków konserwujących, obrzydliwych chemikaliów i sodu, i ani krzty naturalnych wartości odżywczych. Teraz sama wybieraj. Ja się nie wtrącam.

– Fajnie. Chcę Kapitana Cracko. Chwila konsternacji.

– Słyszałaś, co mówiłem?

– Tak, tatusiu.

– No to nie chcesz Kapitana Cracko.

– Powiedziałeś, że mam sama wybrać. Obiecałeś.

– Niczego nie obiecywałem i sądziłem, że dokonasz właściwego wyboru.

– Dokonałam właściwego wyboru – odparła Jessica tym samym cierpliwym, modulowanym, mentorskim tonem, którego nauczyła się od wiadomej osoby.

Bree przyłapała się na tym, że się uśmiecha, kiedy jednak wrzucała puder i szminkę z powrotem do torebki, uśmiech powoli spelzał jej z ust. Simonowi wydawało się chyba, że czteroletnie dziecko jest takim samym partnerem do rozmowy jak członek rady nadzorczej. Nie świadczyło to najlepiej o jego znajomości dziecięcej natury. Prawdę mówiąc, Bree nie bardzo sobie wyobrażała, jak zdołał w ogóle począć dziecko. Uprawianie seksu wymagało przecież czegoś więcej niż rozebrania się do naga; wymagało uczucia. Jak dotąd Simon nawet się nie uśmiechnął.

Pomijając, oczywiście, nocny incydent. Około trzeciej nad ranem Simon był bardzo naturalny. Bardzo ludzki. Był bezbronnym mężczyzną o smutnych, szarych oczach i najwyraźniej rozpaczliwie pragnął przytulić się do kogoś.

Bree zamknęła torebkę i wyszła z łazienki. Dziewczynki nie było już w kuchni. Simon siedział w drewnianym fotelu u szczytu pokiereszowanego, dębowego stołu i sprawiał wrażenie całkowicie przybitego. Wyciągnął przed siebie nogi, oczy miał zamknięte.

Wyczuwszy obecność Bree wyprostował się błyskawicznie i łypnął na nią spode łba.

– Czy pani już odjeżdża? – spytał.

– Chciałabym zapłacić za nocleg – bąknęła.

– Nie ma o czym mówić.

– Czuję się trochę niezręcznie. – Wcale nie czuła się niezręcznie. Jakieś przekorne licho wkładało słowa w jej usta. – Ta burza tak mnie przestraszyła i nawet pan sobie nie wyobraża, jak wdzięczna jestem za dach nad głową. Jeśli nie chce pan przyjąć ode mnie pieniędzy, to może mogłabym się odwdziaczyć w innej formie.

– Nie chcę żadnej zapłaty i nie musi mi się pani w żaden sposób odwdziaczać, panno Reynaud...

– Bree – poprawiła go stanowczo. – A doprowadzenie kuchni do porządku zajmie mi najwyżej kilka minut.

– Doceniam pani ofertę, ale dziękuję. Pani na pewno się śpieszy, a ja... – Jego wzrok błędził po skąpanej w słonecznym blasku, wykładanej cegielkami i błękitnymi kafelkami kuchni, natrafiając co rusz na kolejne pobojowisko. Kiedy spojrzał na nią znowu, wyczytała w jego oczach wszelkie symptomy kapitulacji. Pragnął, by wyjechała. Gorąco. Ale nie do tego stopnia, by zmierzyć się samotnie z bałaganem panującym w kuchni.

– To nie pani zmartwienie – mruknął niezdecydowanie.

– Oczywiście, że nie, ale wczoraj pan również mógł uznać, że to nie pańskie zmartwienie, a jednak przyjął pan pod swój dach zbłąkaną turystkę. Porządki naprawdę nie zajmą mi więcej niż pół godziny. Chyba że ma pan coś przeciwko temu...

Była przekonana, że ma coś przeciwko temu. I to niejedno. Otworzył już nawet usta, nic jednak nie powiedział. Bree zakasała rękawy.

Nadeszła pora kolacji, a kłopotliwy gość nadal nie zbierał się do odjazdu, co zupełnie zbijało Simona z tropu. Nie dochrapałby się sześciocyfrowego dochodu rocznego, gdyby nie znał się na ludziach, ale Bree za nic nie potrafił rozpracować.

Mogła wyjechać już o jedenastej rano, została jednak z dobroci serca przez cały dzień i zajęła się Jessicą. Na lunch przyrządziła nieprawdopodobne danie o nazwie „brudny ryż”. Teraz była osiemnasta i Simon z rezerwą unosił widelec do ust, by skosztować kolejnego nie znanego mu specjału kuchni etnicznej.

Smak sosu i przypraw natychmiast zaatakował jego podniebienie. To nie było dobre. To było wspaniałe.

– Przepyszne – zaszczebotała Jessica.

– Wyśmienite – zawtórował jej Simon.

Żywe, niebieskie oczy Bree przesunęły się po jego twarzy.

– Widzę, że jesteś zaskoczony. Siadając do stołu wyglądałeś jak ktoś, kto ma za chwilę spróbować trucizny.

Obserwował w czasie posiłku jej usta i nie mógł wyjść z podziwu. Jej sposób jedzenia działał nań prowokująco, co tym bardziej go zaskoczyło, że przypominała dziesięcioletniego chłopca. Pod czerwonym swetrem nie nosiła biustonosza. Była płaska jak deska. Na tych wąskich biodrach dzinsy ledwie się trzymały, a długie, szczupłe nogi nigdy Simona nie pociągały.

Jadł i rozmyślał. To nie jej ciało tak na niego działało. To sposób, w jaki się poruszała – lekko i płynnie, z nieznacznym kołysaniem biodrami przy każdym kroku, w tym kołysaniu było coś niemoralnego.

W jej twarzy nie było niczego szczególnego. Włosy miała połyskliwie czarne, z granatowym odcieniem, proste, spadające na plecy. Trudno o mniej wyszukaną fryzurę. Skórę porcelanowo gładką, nos trochę zadarty, zdecydowanie zarysowany podbródek. Całość prezentowała się dosyć atrakcyjnie, nawet ponadprzeciętnie, ale z pewnością nie zwałała z nóg. Te usta – małe, miękkie, zmysłowo czerwone – niewątpliwie zwiastowały kłopoty, ale nie mógł jej przecież powiesić za to, że została przez naturę obdarzona ustami o tak zdrowej barwie.

To z pewnością te oczy, zawyrokował z przekonaniem. Porządna kobieta nie ma takich oczu. Układające się w nonszalancki łuk brwi, rzęsy gęste i czarne jak smoła, a oczy uderzająco błękitne, roziskrzzone, pełne ciepła.

Zacisnęła usta.

– Odnoszę wrażenie, że mucha siedzi mi na nosie, Simonie – mruknęła. – Jeśli chcesz mnie o coś zapytać, to czemu tego nie robisz?

– Nie mam żadnych pytań. – Miał ich setki.

– Nie? Przecież widzę, że intensywnie nad czymś rozmyślasz.

Dobrze. Sama tego chciałaś.

– Zastanawiałem się tylko... – Wskazał ruchem głowy na pustoszejący w oszałamiającym tempie stół.

– Kiedy zaproponowałaś, żebyśmy coś wspólnie przekąsili, nawet do głowy mi nie przyszło, że to będzie takie smaczne. Jako szefowa kuchni mogłabyś zbić majątek.

– I nad tym tak rozmyślałaś? Z czego żyję?

– Nałożyła sobie na talerz kolejną porcję. Zdaniem Simona, pod względem apetytu mogła się równać ze słoniem. – Prawdę mówiąc, to nie przywiązuję zbyt dużej wagi do zapewnienia sobie stałego dochodu. Tryb życia, jaki prowadzę, niektórzy uznaliby prawdopodobnie za pewien rodzaj włóczęgostwa. – Uśmiechnęła się.

Pomyślał, że celowo uśmiecha się w taki sposób... i porównuje do włóczegi. Jak gdyby dobrze wiedziała – a przecież nie mogła wiedzieć – czym go zaintrygować.

– Nie interesuje cię kariera zawodowa?

– Och, pracowałam już kiedyś. Przesiedziałam kilka lat w fotelu sekretarki wystukując na klawiaturze komputera zestawienia zysków i strat, ujarzmiając przewrotną kopiarkę, brodząc codziennie w nieporównywalnej z niczym atmosferze biurowych intryg i podchodów.

– Czyli biznes cię nie pociągał?

– Nie cierpiałam tej pracy – przyznała rozbijając.

Może domyślała się, że biznes był całym jego życiem, może nie. Tak czy inaczej, Simon wiedział, że byłoby dla niego lepiej, gdyby zamilkł, ale nie wiedzieć czemu nie mógł.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia siedem.

– To pewnie już wiesz, co chciałabyś w życiu robić? Wzruszyła ramionami.

– Ostatnio, jak już się domyśliłaś, bawiłam się trochę gotowaniem. To zajęcie współgra nieźle z wędrownym trybem życia. Czy jesteś w małej miejscinie, czy w wielkiej metropolii, zawsze ktoś tam szuka kucharki...

– I od jak dawna podróżujesz tak po kraju? – wpadł jej w słowo Simon.

– Od ponad roku.

– Od ponad roku – powtórzył z ironią. – Wędrujesz ot, tak, bez określonego celu, mieszkasz w samochodzie i żyjesz z dnia na dzień? I przez cały czas sama?

Bree podparła rękami brodę.

– Odnoszę wrażenie, że jesteśmy w jakimś stopniu spokrewnieni – mruknęła. – Wszystkie te pytania zadawała mi już większość z moich pięciu tysięcy krewnych.

– Nie chciałem cię urazić – burknął.

– Nie uraziłeś mnie. Mam czterech braci, którzy wiercą mi dziurę w brzuchu o to samo, ilekroć rozmawiamy przez telefon. Jako bracia boją się głównie o to, żeby jakiś facet, zorientowawszy się, że podróżuję sama, nie wziął mnie za łatwą zdobycz. Nie pomyśl sobie tylko, że piję do ciebie, Simonie.

Zaczynała go boleć głowa.

– Powtarzałam im nieraz, że potrafię o siebie zadbać – ciągnęła Bree. – Nie zapomniałam lekcji, jakiej mi udzielono na tylnym siedzeniu buicka, kiedy miałam szesnaście lat. Nieważne. Przed rokiem zamarzyło mi się zwiedzić kraj, zobaczyć, jak żyją inni ludzie, dowiedzieć się tego wszystkiego, póki jeszcze jestem wolna i nieskrępowana. Czy marzyłeś kiedyś o czymś?

Simon nie odpowiedział. Nie chciał wyjść na pompatycznego bufona. Wystarczająco wiele już w tym kierunku uczynił. Nie do końca jednak wierzył w tę bajeczkę o idealistycznym marzeniu. Za tym swobodnym zachowaniem, za sloganami o wolności i niezależności, kryło się coś jeszcze – kobiece sekrety, kobieca bezbronność. Przyłapał się na tym, że nie jest mu obojętne, co przytrafiło jej się na tylnym siedzeniu buicka i doszedł do wniosku, że chyba traci rozum.

Miał na głowie tuzin własnych problemów i tylko tego mu brakowało, żeby doszedł do nich jeszcze jeden w osobie tej błękitnookiej nieznajomej.

Kiedy Bree nakładała Jessice na talerzyk lody, przeprosił, zerwał się z krzesła i wyszedł na korytarz do telefonu. Po raz dziesiąty tego dnia wykręcił numer byłej żony mieszkającej w Rapid City.

Dzień wcześniej, podrzucając mu córkę, Liz nie była w nastroju, by go wysłuchać. Jess opanowała do perfekcji sztukę okresowego znikania i ostentacyjnego milczenia, ale jej ostatnim wyskokiem były strajki głodowe. Wymogła nimi zgodę Liz na kilkudniowy pobyt u ojca.

Simon skoczyłby dla córeczki w ogień, ale w obecnej sytuacji po prostu nie był w stanie zająć się Jess. Liz nie zdawała sobie z tego sprawy. Była zbyt zdenerwowana, by go słuchać, znał jednak swoją byłą żonę. Niezależnie od uczuć, jakie wobec niej żywił, była oddaną i czułą matką. Już pewnie tęskni za Jessicą. Do tej pory złość z pewnością jej przeszła. Będzie się z nią można porozumieć.

Po dwunastym sygnale odłożył słuchawkę. Trudno porozumieć się z kobietą, której nie ma w domu, a nie może przecież odwieźć Jess do Rapid City, dopóki nie skontaktuje się z jej matką.

Otarł dłonią pot z twarzy. Oczy go piekły, nerwy miał napięte do granic wytrzymałości i przegrywał zacięty bój z atakiem okropnego bólu głowy. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz porządnie się wyspał.

Ze stresem był za pan brat, ale wszystko miało swoje granice. W firmie konsultingowej, którą prowadził, zawsze harowało się po dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale w zeszłym miesiącu stracił głównego inżyniera i obciążenie pracą wzrosło w dwójnasób, zwłaszcza że akurat ciągnęli równolegle trzy kontrakty. Potem zmarł dziadek Fee. Simon ledwie znał tego ekscentrycznego, starego pustelnika. Do głowy mu nie przyszło, że odziedziczy ten dom, a już zupełnie się nie spodziewał, że zostanie wyznaczony wykonawcą ostatniej woli swego stryjecznego dziadka. W rodzinie nie było nikogo, kto mógłby go w tym wyręczyć, tak więc wczoraj spakował Jess i swój sprzęt komputerowy. Najwyżej zarwie jeszcze kilka nocy. Porządkowanie spraw zmarłego dziadka nie będzie przecież trwało w

nieskończoność, a pierwszym krokiem było obejrzenie posiadłości.

Teraz żałował, że zrobił ten krok.

Z tego domu wyniosły się nawet szczury. Dookoła zapadła wieś i gdzie na takim odludziu szukać hydraulika, elektryka albo cieśli. Do tego dochodził bałagan panujący w zbiorach dzieł sztuki, staroci i gromadzonych przez dziadka Fee antyków, na które ostrzyła sobie zęby horda spadkobierców. Skatalogowanie i uporządkowanie tego wszystkiego wymagało mnóstwa czasu, którego Simon nie miał.

Wiedział jednak, że upora się z tym zadaniem. Nie z takich kryzysów wychodził już z tarczą.

Był tylko trochę... przytłoczony.

– Simonie?

Podniósł wzrok. W drzwiach kuchni stała Bree ze ścierką do naczyń w ręku. Była boso. Przez cały dzień chodziła boso. Miała oczywistą awersję do butów, on zaś najwyraźniej nie mógł spojrzeć na jej usta, by nie pomyśleć zaraz o seksie i grzechu. Nigdy nie miał czasu na te rzeczy i teraz nie potrafił zrozumieć, dlaczego ta kobieta tak go pociąga.

Potrafił, naturalnie, oprzeć się jej urokowi, ale pozostawała jeszcze kwestia długu wdzięczności. Gdyby nie ta dziewczyna, zapewne ślęczałby do tej pory w kuchni, zgłębiając tajniki smażenia naleśników.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że Jess jest już na górze. Obiecałam, że przeczytam jej bajkę i zaraz potem wyjeżdżam.

– Nie, nie wyjedziesz.

– Słucham?

Simon westchnął. Wcale nie chciał, żeby zabrzmiało to jak rozkaz. Może to przez jej oczy, może przez usta albo te cholerne bose stopy, ale patrząc na nią czuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach, a głos więźnie w krtani. Kompletny idiotyzm, zwłaszcza że od kilku godzin wiedział, iż ta chwila w końcu nadejdzie.

– Już ciemno – powiedział łagodniejszym tonem.

– Jeździłam już po ciemku.

– Nie znasz okolicy. Najbliższy hotel jest dopiero w Rapid City.

– Jestem wypoczęta – zapewniła go. – Poradzę sobie, nie ma obawy.

Spróbował z innej beczki.

– Moja córka bardzo cię polubiła. Bree oparła się ramieniem o framugę.

– Jest kochana – powiedziała z uśmiechem.

– To chyba mówimy o kim innym. Moja była żona nie może znaleźć dla niej

opiekunki, która nie zażądałaby zaraz dodatku za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia.

Bree uśmiechnęła się szerzej.

– Ona da sobie radę w życiu. Coś mi mówi, że odziedziczyła po tatusiu ten charakterek.

– Nie jesteśmy do siebie w niczym podobni – zaproponował.

– Nie?

– Mniejsza o to – burknął niecierpliwie. – Chodzi – o to, że poświęciłaś mojej córce cały dzień. Prawdopodobnie nie zdawałaś sobie sprawy, w jakiej znalazłem się...

– Och, zdawałam, zdawałam. – Bree złożyła trzymaną w rękach ściereczkę. – Jess wszystko mi opowiedziała. Wiem, że wczoraj mama ją u ciebie zostawiła i że poza tobą świata nie widzi.

– Chodzi mi o to, że miałem na głowie sto spraw, których nie zdołałbym w żaden sposób załatwić, gdybyś nie zajęła się Jessicą. Nie wiem, dlaczego tu zostałam i nic mnie to nie obchodzi. Wiem tylko, że winien ci jestem jeszcze jeden nocleg, a ty chyba nie myślisz poważnie o tłuczeniu się po nocy nieznanymi drogami.

Zmierzyła go badawczym spojrzeniem.

– Zostałam tu przez cały dzień z prostej przyczyny. Mam dużo wolnego czasu, polubiłam twoją córeczkę i chciałam zostać. Jak z powyższego wynika, nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań.

– Wiem, ale...

– Wcale nie chcesz, żebym tu została na kolejną noc.

Powiedziała to łagodnie, bez wyrzutu, ale Simona zaskoczyła jej przenikliwość. Nie był otwartą księgą. Sądził, że nie zorientowała się, jak na niego działa.

– To nieprawda – burknął gniewnie. – Gdyby tak było, nie zatrzymywałbym cię.

Zawahała się, tym razem dłużej i zapytała poważnym tonem:

– Niepokoiłbyś się o mnie, gdybym wyruszyła teraz w drogę, tak?

– Nie.

Znowu uśmiech bardziej ulotny od szeptu.

– A mnie się wydaje, że tak, i muszę przyznać, Simonie, że wprawiasz mnie w zakłopotanie. Wciąż nie jesteś do końca pewien, czy nie ukradnę czasem rodzinnych sreber, a mimo to dręczyłyby cię wyrzuty sumienia, gdybyś wyrzucił mnie o tej porze z domu. Zaczynała go męczyć.

– Nigdy nie uważałem cię za złodziejkę.

– Może nie za taką zwyczajną. Podejrzewam, że niewielu ludziom powierzyłbyś

opiekę nad córeczką, a jednak mnie zaufałeś... a więc nasz problem należy chyba do innej kategorii. Nie obawiasz się chyba, że w środku nocy zakradnę się na górę i uwiodę cię?

Zaczął pocierać dwoma palcami nasadę nosa. Dlaczego każde zetknięcie z tą drobną kobietą sprawia, że diabli biorą jego samokontrolę?

– Panno Reynaud – powiedział ze znużeniem – mam trzydzieści pięć lat i aż do dzisiejszego wieczoru nie miałem nigdy kłopotów z prowadzeniem normalnej rozmowy z kobietą.

– Chciałam tylko powiedzieć, że z mojej strony nic ci nie grozi.

–

Rozdział 3

Bree przekreśliła klucz w zamku, po czym przyciągnęła do drzwi krzesło i podstawiła je pod klamkę. Jeśli i dzisiejszej nocy Simonowi zbierze się na lunatyczne spacer, to tutaj się nie dostanie.

Rozłożyła kanapę i rozesała na niej śpiwór przyniesiony z bagażnika samochodu. Spędzając tu jeszcze jedną noc będzie miała chociaż okazję umyć rano włosy i przeprać parę ciuchów.

Włożyła żółtą koszulę nocną, zgasiła światło i wsunęła się do śpiwora. Nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła. Obudziło ją zwiewne muśnięcie na policzku. Zawieszona przez moment na pograniczu snu i jawy zamrugła powiekami. Przez uchylone drzwi od tarasu wpływał do środka prąd chłodnego, nocnego powietrza i srebrna poświata księżycyca w pełni. Widok był cudownie romantyczny, ale Bree kołatała się po głowie tylko jedna myśl: znowu!

Drzwi wychodzące na korytarz były nadal zamknięte, krzesło nadal blokowało klamkę, nikt więc nie mógł tu wejść. Z korytarza.

Nie przewidziała, że lunatyk może przedrzeć się przez gąszcz chwastów porastających taras i dostać tu od zewnątrz. I to nago. A ściślej mówiąc, prawie nago. Tej nocy Simon miał na sobie czarne slipki. Zdążył już nawet odsunąć zamek błyskawiczny śpiwora.

Bree zamknęła oczy, rozważając w duchu ewentualność uduszenia tego faceta. Zeszłej nocy jego wizyta zaintrygowała ją, dzisiaj już zdenerwowała.

Musnął znów kciukiem jej policzek. Z nabożeństwem. Czule. Leżał na boku, twarzą do niej. Oczy, jak wczoraj, miał otwarte.

Człowiek pogrążony w lunatycznym transie powinien mieć wzrok nieobecny. Jego oczy były ciemne jak oczy draba z jej sennego koszmaru, tak samo błyszczące, tak samo wyglodniałe. Ciarki przeszły jej po plecach. Uspokój się, Reynaud. To nierealne. Nic ci nie grozi. On nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi.

Przesunął kciukiem po lekkiej wypukłości jej kości policzkowej. Dotknął ciepłą dłońią jej włosów i uniósł się na łokciu. Myślała, że chce wstać i wyjść, ale on pochylił się nad nią i okrył całą swym cieniem. Usta miał spragnione, wabiące, miękkie jak szept.

Nie był to długi pocałunek. Wyczuła ulotną woń koniaku, zapach skóry. Był to nie tyle pocałunek, co jego zapowiedź. I nagle wszystko przestało być proste.

Uniósł głowę, spojrział na Bree i z powrotem opadł na poduszkę. Z trudem

chwytala oddech. Całowano ją już wiele razy. W swoich wyobrażeniach o miłości i w związkach z mężczyznami była zawsze bardzo naiwna. Nigdy nie potrafiła się w porę zorientować, że jest bez skrpułów wykorzystywana.

Tylko że w dotyku Simona nie było nic z agresywności czy egoizmu. Jego dłoń przesunęła się w dół jej długiej, białej szyi i zatrzymała. Zaczął gładzić delikatnie kciukiem pulsującą tam żyłę. Powolnym, płynnym ruchem przesunął dłonią po jej ramieniu, wsunął rękę do spiwora i pieśczoćliwie pogładził ją po boku. Ani na moment nie spuszczał z niej wzroku.

Wmawiała sobie, że to Simon... ale w głębi ducha wiedziała, że to nie on. Jej nocny gość był ciepły, czuły, przerażająco wrażliwy. Gdyby wziął ją po prostu w ramiona, mogłaby zwyczajnie dać mu w twarz. Nie zrobił tego. Gładził tylko delikatnie, z czułością, z nieskończoną łagodnością jej skórę.

– Simonie... – szepnęła desperacko i zyskała tylko tyle, że znowu ją pocałował.

Tym razem włączył się język. Wilgotny, aksamitnie miękki. Rozchylił jej zaciśnięte wargi. Odkrył gładź szkliva jej zębów. Ruszył na poszukiwanie jej języka. Odnalazł go.

Zadrzała.

– Cholera, Simonie.

Uniósł głowę, uśmiechnął się i znowu wpił się w jej usta. Zaborczo. Bez pamięci. Wyczuła, jak rozpala się i tężeje jego ciało, usłyszała jego przyśpieszony oddech i sama zapłonęła.

Jego dłoń przesunęła się na jej obojczyk, a potem odszukała pierś. Tak jakby wiedział, że to jej czułe miejsce. Niewielu mężczyzn zawracało sobie głowę odkrywaniem tego ogniska skoncentrowanej wrażliwości, traciło czas na jego poszukiwanie. Pod natarczywą, erotyczną pieśczoćą jej pierś nabrzmiała. Sytuacja stawała się groźna.

– Wracaj do łóżka, Simonie. – Głos miała schrypnięty, zdyszany.

Odetchnęła głęboko, nadaremnie szukając w sobie siły, szukając rozsądku, a tymczasem czuła się bezbronna jak nigdy dotąd.

– Idź już sobie, Simonie. Skorzystaj z drzwi, wejdź po schodach na górę i połów się do własnego łóżka.

Spojrzał na nią w poświacie księżyca. W jego oczach nie nastąpiła żadna zmiana. Ale posłuchał. Poczwała, jak na pożegnanie muska jeszcze dłonią jej policzek i jak podnosi się z materaca. Powoli, niczym skradający się kot, ruszył w stronę drzwi.

Zamrugwała nagle powiekami i zerwała się z łóżka. Wyprzedzając Simona dopadła drzwi, odsunęła krzesło, przekręciła klucz w zamku i otworzyła je przed nim na oścież.

Zdażyła w samą porę.

– Cześć.

Bree otworzyła oczy i natychmiast je zamknęła porażona słonecznym blaskiem. Znowu przespała świt. Zerknęła półprzytomnie na swego gościa. W nogach łóżka siedziała po turecku Jessica, drapiąc się po maleńkim strupku na kolanie. Ubrana była w jaskrawe, pomarańczowe majteczki i jedną z białych koszul ojca, a na nóżkach miała trzy pary opadających skarpetek.

– Zrobisz mi ciasteczka? – spytało dziecko z nadzieją w głosie.

Bree pokręciła głową.

– Nie mogę. Już o tym rozmawialiśmy, pamiętasz?

Muszę dziś rano wyjechać. – Była jeszcze otumaniona snem, ręce i nogi ciążyły jej jak ołów. Czy w ogóle zasnęła po wyjściu Simona? Przeniosła wzrok z zamkniętych drzwi od tarasu na drzwi prowadzące na korytarz i zaskoczona stwierdziła, że stoją otworem.

– Jak tu weszłaś, kochanie?

Jessica wepchnęła rączkę w kieszonkę koszuli, wydobyla stamtąd długi, mosiężny klucz i schowała go szybko z powrotem.

– Tatusz wie, że go masz? – spytała podejrzliwie Bree.

– Tatusz wie wszystko – poinformowała ją Jessica, – poprawiła na nosku okulary i powróciła do interesującego ją tematu. – Umrę, jak nie zostaniesz.

Bree odrzuciła koc, usiadła na łóżku i otoczyła ramionami małą przylepkę.

– Wspaniale się wczoraj bawiliśmy, prawda?

Śledzona żalonym wzrokiem Jessiki wyskoczyła z łóżka, naciągnęła białe dzinsy, zapięła pasek i narzuciła na siebie koszulę khaki. Wyszczotkowała włosy, zaplotła je w luźny warkocz i z silnym postanowieniem nie zwracania uwagi na burczenie w pustym brzuchu, jak również na żalose spojrzenie dziewczynki, zrolowała szybko śpiwór.

Dwie noce z lunatykiem to aż nadto. Kiedy znajdzie się daleko od Simona, dotrze pewnie do niej komizm całej sytuacji. Przez wiele miesięcy z powodzeniem tłumiała swoje emocje, a tu w przeciągu dwóch nocy mężczyzna, którego ledwie знаła, rozbudził ją pieścizotami. Była pewna, że nie istnieje taki mężczyzna – czuły, opiekuńczy, ofiarujący swe serce, mężczyzna, przy którym poczuje się bezpieczna i pożądana. I oto znalazła go w najmniej spodziewanym miejscu.

Ale ten cukierkowy obraz miał dwie skazy.

Simon nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi.

A Bree nie mogła znieść jego widoku za dnia. Znikaj stąd, Reynaud. Zmywaj się, póki nie jest za późno. Musiała jednak odwlec swój wyjazd o kilka minut. Rzuciła na

podłogę zwinięty śpiwór i przykucnęła przy swojej przygnębionej przyjaciółce.

– Uśmiechnij się do mnie na pożegnanie, Jess.

W taki ranek nie można się smucić. Wiem, że wczoraj dobrze się bawiłyśmy, ale dzisiaj nie jestem ci już potrzebna. Tatuś dodzwonił się już pewnie do twojej mamy...

– Nie obchodzi mnie, czy się dodzwonił, czy nie. Ja zostaję z tatusiem.

– Wiem, że tego chcesz. – Bree pogładziła niesforne pasemka włosów, które wymknęły się spod gumki podtrzymującej koński ogon małej. – Ale opowiadałaś mi wczoraj trochę o swojej mamusi i odniosłam wrażenie, że bardzo ją kochasz.

– Bo kocham.

– I założę się, że ona tęskni za tobą.

– Ja też za nią tęsknię, ale zostaję z tatusiem. Wszystko już sobie przemyślałam. Sama potrafię się nim zaopiekować, ale byłoby o wiele, wiele prościej, gdybyś ty też została. Czasami jednej osobie trudno jest się nim opiekować.

Osobiście Bree była zdania, że i legion opiekunek miałyby co robić przy Simonie, ale wolała tego nie powtarzać jego zagorzałej wielbicielce.

– Muszę jechać, kochanie. Przykro mi.

– Proszę cię, proszę.

Błagalny wyraz oczu dziewczynki nie był w stanie wpłynąć na decyzję Bree.

Przemknęła na palcach obok zamkniętych drzwi gabinetu Simona do łazienki, gdzie spędziła nie więcej niż pięć minut. Potem, nie nękana zupełnie wyrzutami sumienia, przeszła przez kuchnię z unikalnym piecem, którego nie miała okazji wypróbować, przez kilka tajemniczych, udrapowanych białymi płachtami pokoi, których nigdy już nie zbada, i znalazła się przed domem.

Odetchnęła rześkim, świeżym powietrzem, poklepała po łbie jednego z kamiennych lwów, po czym z niemałym trudem upchnęła śpiwór i torbę z ubraniami w miniaturowym bagażniku swojego volkswagena. Kawalek dalej, nie opodal jednej z trzech obłożonych z farby stodół, które tak ją wczoraj zaintrygowały, stał zaparkowany ciemny mercedes Simona. Ale Bree myślami była już w drodze. Na niebie ani jednej chmurki, powietrze czyste i orzeźwiające. Wymarzony dzień dla wolnego, niczym nie skrepowanego wędrowca. Może jechać gdziekolwiek! Robić, co zechce! Przed nią nieograniczone możliwości!

Weź się w garść, Reynaud, skarciła się w duchu. Tak ci ciężko na duszy, że zaraz się rozbeczysz. Niemożliwe, żebyś tak szybko przywiązała się do tych dwojga Courtlandów. A teraz w drogę.

Rzuciła ostatnie, pożegnalne spojrzenie na okropnie niegustowne zamczysko wznoszące się pośród wybująłych chwastów i trawy, pokręciła głową i wsiała do

wozu. Zapinała właśnie pas, kiedy otworzyły się z łomotem drzwi wejściowe.

– Jest z tobą?

– Jessica? – Bree przemknęło przez myśl, że to opatrność zsyła jej Simona, bo jego widok natychmiast umocnił ją w postanowieniu wyjazdu.

Zbiegł po schodkach przeskakując po dwa stopnie naraz i dopadł drzwiczek samochodu.

– No jasne, że pytam o Jessicę, chyba że znasz tu jeszcze jakąś inną czteroletnią terrorystkę. Nie ma jej z tobą?

– Nie.

– A widziałaś ją dzisiaj?

– Przed piętnastoma minutami, ale musi gdzieś tu być. – Wbrew własnej woli spojrzała na niego. Za pierwszym razem nie pamiętał swych nocnych wyczynów, ale była pewna, że dzisiejszego ranka jest inaczej. Niemożliwe, żeby mężczyzna całował tak namiętnie, a potem o tym zapominał.

– Jesteś pewien, że nie ma jej w domu?

– Wołam ją od pięciu minut.

– Jeśli wyszła, to nie frontowymi drzwiami, bo bym ją zauważyła...

– To na pewno przez ciebie.

– Przeze mnie? – Bree, kipiąc ze złości, odpięła pas bezpieczeństwa i gwałtownym pchnięciem otworzyła drzwiczki samochodu. Stała przed Simonem wsparta pod boki, z zaróżowionymi policzkami. To nie nagła bliskość, a zdenerwowanie było przyczyną przyspieszonego bicia serca. Prędzej zażyłaby cyjanek niż przyznała, że czuje coś do Simona... w każdym razie do tego Simona, jakim był w dzień. – Nie mam pojęcia, na czym, według ciebie, ma polegać moja wina, ale z pewnością jesteś przewrażliwiony. Dopiero co widziałam małą. To, że nie przybiega od razu na twoje władcze ryki, wcale jeszcze nie znaczy, że zginęła.

Nie zwrócił uwagi na docinek.

– Nie powiedziałem, że zginęła.

– No to...

– Ale nigdzie jej nie ma. Chowa się zawsze, kiedy nie zdoła postawić na swoim. – Simon patrzył na Bree spod przymrużonych powiek. – Musiałaś jej coś powiedzieć.

– Nic podobnego. Ja tylko... – Bree urwała i z trudem przełknęła ślinę. Przypomniało jej się teraz, jak bardzo zależało Jessice, by została.

Simon wzniosł oczy do nieba.

– Wiedziałem, że to ma związek z tobą. – Pocierając dłonią kark potoczył wzrokiem po dziedzińcu i zatrzymał go na stodołach.

Wczoraj Bree zajrzała do nich tylko przelotnie, ale to wystarczyło, by zorientować się, że piętrzą się tam stosy gromadzonych chyba od stu lat rupieci. Nie było to bezpieczne miejsce dla dziecka.

– Nie schowałaby się w stodole – powiedziała szybko.

– Schowałaby się wszędzie, byleby tylko napędzić nam jak największego strachu – poinformował ją ponuro Simon i pobiegł truchtem w kierunku opuszczonych budynków.

Bree wahała się pełne dwie sekundy, po czym puściła się biegiem w ślad za nim, dogoniła go i wyprzedziła.

– Ja sprawdzę w tej najdalszej.

Przetrzęsnęli wszystkie trzy stodoły i znaleźli obfitość kurzu, śmieci i brudu – za to żadnego dziecka. Bardziej przypadek niż celowe działanie sprawił, że jednocześnie popędzili sprintem z powrotem w stronę domu. Klóćąc się po drodze.

– To nie twoja sprawa.

– Moja, od kiedy obarczyłeś mnie odpowiedzialnością.

– Jesteś odpowiedzialna za to, że zaczęła cię uważać za najwspanialszy wytwór natury i zakochała się w tobie. Prosiła cię, żebyś została, prawda? O to chodzi?

– Z twojego tonu można by wnosić, że chciała trzymać węża w pokoju.

– Ja tego nie powiedziałem.

– Ale pomyślałeś.

– Nieprawda. Pomyślałem tylko, że jak ją znajdę, to zabiję.

– Simonie... – Chwyciła go za rękaw w momencie, kiedy wpadał jak bomba do domu. – Nie wiem, czym ci się naraziłam i mało mnie to obchodzi. Ale nie bądź dla niej zbyt surowy, dobrze? To jeszcze dziecko.

Zatrzymał się jak wryty i spojrzał na nią kompletnie dezorientowany. Włosy miał rozwichrzony, wzrok rozplamiony, twarz brudną, koszula wyłaziła mu ze spodni i Bree poczuła przyspieszone bicie serca.

W tej chwili nie był pełnym rezerwy, wyniosłym Courtlandem, a kimś realnym i ludzkim, jak ten lunatyk, który nachodził ją w nocy.

– Uraziłem cię czymś? – zapytał. Sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego.

– Nie udawaj, Simonie. Od pierwszej chwili, kiedy tu się zjawiłam, odnosisz się do mnie z niechęcią.

– To nieprawda. A przynajmniej moje zachowanie wobec ciebie nie miało nic wspólnego z... niechęcią. Spędziłaś dwie noce pod dachem faceta, którego właściwie nie znasz. Z góry założyłem, że będziesz się obawiała o swoje... bezpieczeństwo. Gdybym zaczął ci nadskakiwać, mogłabyś to opacznie zinterpretować. Mogłabyś sobie pomyśleć,

że się do ciebie przystawiam. Mogłabyś... – Urwał, zatrzasnął ze złością drzwi i pośpiesznie zmienił temat. – Sądziś, że zrobiłbym krzywdę Jessice? Nigdy jej nie uderzyłem. To przecież moja córka!

Nie poznawała Simona. Ten zimnokrwisty pedant, za jakiego go do tej pory uważała, okazywał się być człowiekiem zdolnym do miłości, i to miłości wielkiej, płomiennej, ślepej. Jego dziecka nie było od niespełna dwudziestu minut, a on gotów był już pruć stalowe ściany, burzyć budynki, brać się za bary z niedźwiedziami.

– Czemu się pani uśmiecha, panno Reynaud? – spytał z rezygnacją Simon.

– Bree – poprawiła go automatycznie.

– Nie dostrzegam w tej sytuacji nic zabawnego.

– Daj spokój, Simonie, Jessica uwielbia psoty. Jeśli się opanujesz i przestaniesz rwać włosy z głowy, sam dojdiesz do wniosku, że nie ma się czym przejmować. Jess ma wspaniale rozwinięte struny głosowe. Usłyszałbyś ją z pewnością, gdyby przypadkiem ukłuła się – w paluszek. Nie ma najmniejszego powodu, by myśleć, że coś jej się stało.

– Tak sądzisz?

O, Boże, chyba śni. On naprawdę jej słucha.

– Tak – powiedziała z przekonaniem.

Opinia Bree znalazła jednak swoje potwierdzenie dopiero po godzinie poszukiwań. Przy którymś z rzędu podejściu do przetrząsania jadalni coś ją tknęło i uchyliła klapę staroświeckiego wyciągu do transportowania posiłków z kuchni. Na widok czubka pomarańczowej tenisówki poczuła skurcz w dołku. Bóg jeden wiedział, ile lat miały liny – z pewnością jednak tyle, że miały czas przegnić albo ulec osłabieniu.

Simon jednym szarpnięciem otworzył klapę na całą szerokość i w otworze pojawiło się gołe kolanko, nad nim wymięta koszula, a na koniec rozbrajająco uśmiechnięta buzia. Jessica wystawiła główkę z szybu. Oczka jej błyszczały jak latarenki. Simon porwał ją na ręce i postawił na podłodze, ale nie odrywał rąk od jej ramion.

– Jessico, nigdy więcej tego nie rób.

– Dobrze, tatusiu.

Bystre oczka przesunęły się na Bree.

– No i nie wyjechałaś. Wiedziałam, że nie wyjedziesz. Wiedziałam, że potrafię cię zatrzymać.

– Naprawdę, skarbie? – Bree poczuła, że świerzbi ją ręka. – To teraz posłuchaj. Jeśli jeszcze raz wykręcisz taki numer, to tatuś przełoży cię przez kolano i wleje parę klapsów na gołą pupę, a potem zamknie na godzinę w pokoju. Zrozumiałaś?

– Tak, Bree.

– Śmiertelnie przeraziłaś tatusia. Przepróż go w tej chwili!

– Przepraszam, tatusiu.

– Bree otarła delikatnie smugę kurzu z policzka dziewczynki i dorzuciła łagodniejszym już tonem:

– No dobrze, wyjaśniłyśmy sobie sprawę. A teraz puścimy wszystko w niepamięć, ale najpierw musisz pocałować tatusia. A potem pobiegiesz do swojego pokoju i zdejmiesz tę brudną koszulę.

Jessica rzuciła się ojcu na szyję i wycisnęła na jego policzku soczystego całusa, po czym popędziła na górę, żeby się przebrać. W zalanej słońcem jadalni zrobiło się nagle cicho jak makiem zasiał. W oczach Simona płonął jakiś ogień, ale Bree za nic nie potrafiła go rozszyfrować.

– Zbeształaś moje dziecko.

– Wiem i przepraszam. – Bree spuściła wzrok – Niepotrzebnie się wtrącałam i teraz bardzo tego żałuję. Czuję się podle. – Znowu ten błysk w oku.

– Zostaniesz, Bree?

– Słucham? – Była pewna, że się przesłyszała.

– Czy mogłabyś zostać? – powtórzył Simon.

Usta rozciągnęły jej się w pełnym współczucia uśmiechu.

– No cóż, nietrudno zauważyć, że przeżywasz ostatnio wielki stres – odezwała się łagodnie. – W takim stanie każdemu może się wymknąć coś, czego potem żałuje. Napij się gorącej herbaty. Od razu lepiej się poczujesz.

– Prosiłem, żebyś została, Bree, a zapewniam cię, że jestem przy zdrowych zmysłach i mówię zupełnie poważnie.

–

Rozdział 4

– Nie daję sobie z nią rady.

– Nie mów tak, Simonie. Przecież to twoja córka. – Bree pogrzebała w torebce i z samego jej dna wydobyła czekoladowy batonik. Odgryzła spory kęs.

Simon wciągnął ją do gabinetu prosząc, by przynajmniej go wysłuchała. Zgodziła się, bo ciekawiło ją, dlaczego Simon zawsze zamyka ten pokój.

Teraz już wiedziała. Podobnie jak reszta pomieszczeń w tym domu, gabinet był zagrożony przedmiotami nieokreślonego przeznaczenia, których dziwne kształty rysowały się pod okrywającymi je zakurzonymi, białymi płachtami, ale Simon wygospodarował tu sobie kątek do pracy i rozstawił w nim swoją elektroniczną aparaturę. Komputer, faks, drukarka, zasilacz awaryjny – Bree nie miała wątpliwości, że Jessice wystarczyłoby pięć sekund na demontaż całej tej instalacji. Na miejscu Simona nie ufałaby nawet zamkom, tylko profilaktycznie wzniosłaby tu solidne barykady.

– Posłuchaj, nie proszę cię, żebyś została tu na zawsze. Chodzi tylko o kilka dni. Dopóki nie skontaktuję się z moją byłą żoną. Może tylko wyjechała gdzieś na weekend. Liz nigdy dotąd nie zostawiała mi Jessiki nie podając numeru telefonu albo adresu, pod którym mógłbym ją w razie czego złapać.

– Simonie...

– Nic nie mów, tylko słuchaj, dobrze? Jestem – inżynierem i prowadzę firmę konsultingową. Ten interes wiąże się z częstymi, krótkimi wypadami w teren, ale najważniejszą część pracy mogę wykonywać gdziekolwiek – choćby w jaskini – bylebym tylko miał tam pod ręką komputer i faks. To pewnie jeden z powodów, dla których dziadek Fee wybrał mnie na wykonawcę swej ostatniej woli. Najwidoczniej uważał, że jestem bardziej dyspozycyjny od innych członków rodziny.

– Dziadek Fee? – Odwinęła z papierka resztę batonu. Osobiście była zdania, że każdemu, kto uważa Simona za dyspozycyjnego, przydałby się psychoanalityk.

– Tak, mój stryjeczny dziadek. Ostatni raz widziałem go, kiedy miałem pięć lat. Spędził tu jak pustelnik prawie całe życie, nie utrzymując żadnych stosunków z rodziną. Nigdy nie widziałem ani tego domu – który teraz, z jakichś koszmarnych powodów należy chyba do mnie – ani jego zawartości, która, co prawda, moją nie jest, ale mam z nią przez to istne urwanie głowy.

– Simonie... – Zdecydowanie odbiegał od tematu.

– W tym domu strach byłoby trzymać psa, a co dopiero dziecko. Rury zapychają się

i przeciekają, ogrzewanie raz działa, raz nie. Wykarmiłbym jakoś Jessicę, gdyby była tu kuchenka mikrofalowa, ale jej nie ma. Jest za to zatrzesienie rzeczy, których małej nie wolno dotykać. Jeden konkretny przykład... – Zerwał się z za biurka i uniósł zakurzoną płachtę okrywającą jakiś przedmiot stojący za jej plecami.

Bree omal się nie udławiła. Dopiero teraz wyszło na jaw, że siedziała tuż obok długiego na metr szkieletu, z czerepem o wyszczerzonych zębiskach drapieżnika.

– Oto mesohius z epoki oligoceńskiej. Nazywany też trójpalczastym koniem – powiedział znużonym głosem Simon. – Dziadek Fee zgromadził tu kolektę dinozaurów. Walają się po całym domu. Ściągasz płachtę pewna, że znajdziesz pod nią krzesło czy lampę, a tu gapi się na ciebie prehistoryczny kościotrup.

Opadł z powrotem na fotel za biurkiem.

– Na dojeżdżanie tu codziennie z Sioux Fali, gdzie mieszkam, jest za daleko, nie mogę też umywać rąk i zostawić w diabły tej rupieciarni. Odpowiadam za rozdysponowanie całej kolekcji – niektóre z eksponatów warte są fortunę – a nie mogę z tym ruszyć, dopóki wszystkiego nie skataloguję. Równocześnie muszę zarabiać na życie. Rozpracowujemy właśnie kontrakt za cztery miliony dolarów... – jakby dla zaakcentowania swoich słów włączył komputer – pomagam finansowo matce, byłej żonie i młodszej siostrze, która nie może związać końca z końcem, od kiedy się rozwiodła. Wszystkie one wyobrażają sobie, że pieniądze rosną na drzewach. Potrafię zarobić, ale nie mam pojęcia, jak postępować z czterolatką, która specjalizuje się w terroryzmie. Na miłość boską, naprawdę nie możesz zostać na kilka dni?

Bree nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Simon uderzał w ton skazańca wypowiadającego swe ostatnie życzenie. W rzeczywistości nie był aż tak zdesperowany, ale musiała przyznać, że prawie dała się nabrać. Pod tą twarzą pokerzysty kryła się zdecydowanie pogodna osobowość. Nigdy by go nie podejrzewała o takie sarkastyczne, niewymuszone poczucie humoru. Co więcej, nie oczekiwała, że kiedykolwiek rozluźni się na tyle, by prowadzić z nią tak swobodną konwersację. Nie do wiary, on się naprawdę otwierał!

– Rozumiem, że czujesz się, jakby ktoś przykładał ci pistolet do głowy, ale...

– Tysiąc dolarów za trzy dni. Uśmiech spełził jej z twarzy.

– Żarty sobie stroisz!

– Tysiąc pięć. Do cholery, nie widziałem jeszcze, żeby ktoś mojej córce tak przypadł do serca i jest to najwyraźniej uczucie odwzajemnione. Sam byłem świadkiem, jak świetnie sobie z nią radzisz...

– Courtland, może zamknąłbyś się tak z łaski swojej na pięć sekund i trochę ochłonał? – Bree przerzuciła nogi przez poręcz przepastnego fotela na biegunach.

– Posłuchaj, Bree...

– Jak spałeś tej nocy? – wpadła mu w słowo.

– Jak spałem? A co to ma do rzeczy...

– Wiem, że moje pytanie wydaje ci się głupie, ale odpowiedz – nie ustępowała.

– Spałem dobrze – odparł wzruszając ramionami.

Spojrzała nań badawczo. Nie dostrzegła cienia wahania w jego pięknych, ciemnych oczach, na jego szyi nie pulsowała szybciej żadna żyła, nie drgnął ani jeden mięsień na twarzy. I bez detektora kłamstw wiedziała, że mówi szczerze.

Musiał wyczuć, że się łamie, bo spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

– Dwa tysiące.

– No, nie! – Bree strzepnęła z kolan okruchy batonu i wstała. – Jeśli jeszcze raz wspomnisz o pieniądzach, to wychodzę i tyle mnie będziesz widział. – Czuła już smak strasznego głupstwa, jakie za chwilę palnie, ale słowa same cisnęły jej się na usta. – Bardzo chętnie zostałabym z Jess przez parę dni, Simonie, ale pod pewnymi warunkami.

– Wspaniale.

– Nie znasz jeszcze tych warunków – zauważyła zgryźliwie. – Po pierwsze, nie ma mowy o żadnym wynagrodzeniu.

– Nie chcesz pieniędzy? Z pewnością by ci się przydały...

– Po drugie, ja gotuję. Ty trzymasz się z dala od kuchni.

– A myślałem – mruknął z kamienną twarzą – że akurat z tym dam sobie radę.

Bree odliczała na palcach kolejne punkty swojego ultimatum.

– Żadnej kofeiny po szóstej wieczorem. Po kolacji już nie pracujesz. Przed położeniem się do łóżka wypijasz podwójny koniak.

– Na litość boską...

– Nie licz na litość, Simonie. Takie właśnie są moje warunki.

– Ale one nie mają sensu.

– Nikt nie każe ci ich przyjmować, ale jeśli już się zdecydujesz, będziesz musiał dać mi słowo, że ich dotrzymasz.

– Posłuchaj, Reynaud, ja ci proponuję dwa tysiące dolarów, a ty bredzisz coś o piciu jakiegoś idiotycznego koniaku...

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku drzwi. Simon rzucił pod nosem jakieś dosadne przekleństwo i zerwał się z fotela. Dogonił ją w progu i zastąpił drogę, z – Nie rozumiem cię – warknął ze złością i nieoczekiwanie wyciągnął rękę.

Niektóre kontrakty pieczętuje się uściskiem dłoni. Bree odnosiła teraz wrażenie, że zawiera pakt z diabłem. Simon dłoń miał wielką, ciepłą i twardą. Ciekawe, czy zdawał

sobie sprawę, że ostatni kontakt z tymi wielkimi, ciepłymi dłońmi miała niedawno w łóżku.

Przeszedł ją zniewalający dreszcz. Spuściła szybko wzrok. W środku nocy, w porze marzeń i snów, taką reakcję na jego dotyk można by było jeszcze usprawiedliwić. Doznając jej teraz poczuła się zagrożona. Nikt, kto wychował się na parnych, podmokłych, wiecznie zielonych terenach południowej Luizjany, nie pozostanie obojętny na omeny. Uścisk dłoni trwał krótko. Simon szybko cofnął rękę, ale nie umniejszyło to efektu. Zmysły rozpały się do temperatury wrzenia. Słońce zapłonęło naraz silniej. Reszta pokoju zbladła nagle i rozmazała się jak na starej fotografii, ostrzej za to zarysowała się osoba Simona i emanująca z niej męskość.

Jasny gwint, Reynaud, weź się w garść. To nie jest kochanek twoich marzeń. Być może masz jakieś powody, by strzec się przed Hyde'em, ale to jest Jekyll. To jest Simon. To realny świat.

I otrzeźwiała nagle. Simon potrzebował pomocy. Zabawnie będzie udzielać mu jej na własnych warunkach. Nie powinna mieć większych kłopotów ze znalezieniem sobie kąta do spania zaopatrzonego w solidny rygiel, a poza tym, do diabła, zgodziła się przecież zostać tylko na parę dni.

– Simon?

Słyszał doskonale ten znajomy, kobiecy głos, ale świadomie go ignorował. Od bitych pięciu godzin ślęczał przed ekranem komputera przeglądając dane o epokach geologicznych. Najwięcej uwagi poświęcał oligocenowi i plejstocenowi. Szczerze mówiąc, jeden i drugi mało go obchodził, ale znalazł wreszcie paru kolekcjonerów zainteresowanych zbiorami dziadka. Zasiadając do negocjacji, musi przewyższać ich wiedzą. Nie cierpiał, kiedy go oszukiwano.

– Panie Courtland.

Piekły go oczy, bolał kark, cały zeszytniał od długiego siedzenia w tej samej pozycji. Odwrócił się z irytacją.

– Czego!?

– Zapraszamy na herbatę.

– Na co?

– Na herbatę, tatusiu.

Dwie stojące przed nim zjawy dygnęły z gracją. Ta niższa cała była w koronkach, szyję miała owiniętą długim szalem, w rękę trzymała własnej roboty papierowy wachlarz, a stroju dopełniały pomarańczowe tenisówki. Włosy miała upięte do góry w kok, który dodawał jej ze trzydzieści lat.

Starsza zjawia ubrana była w wieczorową suknię do samej ziemi, oblamowaną żałobną czarną koronką. Albo tę suknię jakoś przemyślnie skrojono, albo Bree jakimś cudem przybyło od śniadania piętnaście kilogramów – krągłych kilogramów. Włosy przytrzymał jej biały grzebień z masy perłowej, a na nogach miała staromodne, czarne, zapinane na guziczki trzewiki, które nie wiadomo gdzie znalazła.

– Oto – Bree wskazała uroczyście na swą towarzyszkę – królowa Anglii, a ja jestem księżną Pookenanney i mamy zaszczyt zaprosić pana na herbatę, którą właśnie podajemy w salonie.

Simon potarł nasadę nosa i zamknął oczy.

– Mam to brać na serio?

– Bierz to sobie, jak zechcesz, bylebyś tylko ruszył swój *petit cul mignon, cher*.

Simon nie znał, co prawda, francuskiego, ale domyślił się bezbłędnie, co każe mu ruszyć Bree. Wstając napotkał na moment jej wzrok. W ciągu ostatnich trzech dni nieraz puszczał wodze fantazji i wyobrażał sobie, co zrobiłby z tą kobietą będąc z nią choć przez chwilę sam na sam.

Prostokątny, staroświecko urządzony salon zmienił się nie do poznania. Bree porozsuwała ciężkie kotary, pościagała z mebli białe płachty, odkurzyła i wypastowała podłogę, jednym słowem uczyniła z tego pokoju cudeńko.

– Zechce pan spocząć, sir Simonie.

Królowa z księżną zajęły miejsca na wiktoriańskiej, obitej brokatem sofie. Rozejrzał się, ale nie zauważył nigdzie filiżanek z herbatą. I wtem jego wzrok padł na maleńkie naczynka dla lalek rozstawione na lakierowanym chińskim stoliczku. Były chyba mniejsze od jego paznokcia.

– Z cukrem czy z cytryną, sir? – spytała wytwornie Bree.

– Słucham?

– Pije pan z cukrem czy z cytryną? – wtrąciła się Jessica.

– Z cukrem – mruknął niepewnie.

Obie damy siedziały sztywno jak prawdziwe arystokratki. Nalewała królowa, a księżna wrzuciła kostkę cukru do jego filiżanki, z tym że w tej filiżance nie było herbaty, a cukier też był na niby.

– Nie pijesz, tatusiu?

– Już, już. – Idąc za ich przykładem uniósł do ust mikroskopijną filiżaneczkę. Naśladując Bree, odchylił z gracją mały palec.

– Może kanapkę z ogórkiem?

– Właśnie, sir Simonie, zjadłby pan kanapkę z ogórkiem?

Nie widział nigdzie żadnych kanapek. Bierz to na serio, Courtland, upomniał się, ale zachowanie powagi przychodziło mu z coraz większym trudem. Dziewczyny zachowywały się przezabawnie.

Po trzeciej filiżance wymaginowanej herbaty księżna pochyliła się dostojnie i położyła kształną dłoń na jego kolanie. Nigdy w życiu nie widział kobiety o bardziej niezwykłych oczach.

– Niech pan jeszcze nie odchodzi – powiedziała cicho. – Przygotowałyśmy dla pana małą niespodziankę. Królowa chciałaby wystąpić z recitalem muzycznym, który przygotowała specjalnie dla pana.

– Z recitalem? – Jessica nawet *Happy Birthday* nie potrafiła zaśpiewać bez fałszowania.

– Requiem, które zagra, zatytułowała „Oda do Kruka”.

– Na pewno ci się spodoba, tatusiu.

Starsza dama zajęła miejsce obok niego, a jego córka, przeczuciwszy sobie szal przez ramię, zasiadła z gracją do pianina i bez zwłoki przypuściła szturm na pożółkłe klawisze. Kakofonia dźwięków, jaką zaczęły wydobywać z rozstrojonego instrumentu jej niewprawne paluszki, groziła słuchaczom trwałą głuchotą. Simon zawyłby, gdyby był psem.

W końcu – choć nie nastąpiło to szybko – Jess znużona swoją wiekopomną kompozycją przestała grać i spojrzała na audytorium. Księżna zerwała się z miejsca klaszcząc zapamiętane i krzycząc głośno: Brawo, brawo!

Simon również wstał, ale widocznie nie dość szybko, bo poczuł zaraz na żebrach bolesnego szturchańca wymierzonego łokciem księżnej.

– Rzucaj róże – podszepnęła mu.

– Co mam rzucać?

– Róże. – Zaczęła wymachiwać dziko rękami, rozrzucając w krąg wymaginowane kwiaty.

– Usta zaczęły mu drgać. Nie mógł się powstrzymać. Próbował, ale nie mógł. Zawisła nad nim groźba, że zostanie okrzyknięty wyrodnym ojcem, który zaniedbuje córkę i nie chce się z nią bawić, ale przecież dał z siebie wszystko, by jak najlepiej odgrywać szlachetnego rycerza, księcia, hrabiego – czy kim tam był w wybujałej wyobraźni Jess.

Ale nic nie mógł na to poradzić. Zakrył twarz dłońmi, nie zdołał jednak stłumić pierwszego chichotu. Pękły tamy i Simon parsknął niepohamowanym śmiechem. Po chwili trząśnięcie ze śmiechu tak, że musiał się czegoś przytrzymać.

A pod ręką była tylko Bree.

Śmiech Simona brzmiał cudownie.

Ta myśl nie opuszczała Bree ani na chwilę, kiedy trzymając w ręku buty skradała się schodami na drugie piętro. Dochodziła północ i cały dom pogrążony był w ciemnościach. Cicho jak kot wślizgnęła się do małego pokoiku na poddaszu, zamknęła za sobą drzwi, zaryglowała je i dopiero wtedy zapaliła górne światło.

Wprost nie do wiary, jak śmiech odmienił Simona. Rozluźnił się, z jego twarzy zniknęła szorstka surowość i kontrolowany chłód. Oczy lśniły niebezpiecznymi iskierkami. Ścisnął ją przelotnie za ramię. Odrzuciła głowę. Spojrzał na jej usta...

Bree zdjęła szybko pomarańczową koszulkę i dzinsy. Co za różnica, w jaki sposób patrzył na jej usta. Najważniejsze, że Simona można było wyrwać z tego transu pracowitości, przywołać do rzeczywistości, skłonić do okazywania naturalnych uczuć – przynajmniej wobec Jessiki.

Naga jak ją Pan Bóg stworzył podeszła do wysokiego po sufit regału zajmującego całą ścianę. Odkryła ten dziwny pokój w zamkowej wieży przed trzema dniami i od razu ją zaintrygował. W rozsuwanych pionowo oknach nie wisały firanki, zimnej podłogi nie pokrywał dywan i nie było tu tylu mebli, co w pozostałych pokojach domu. Z ciekawości zaczęła pociągać za gałki i rączki szuflad i drzwiczek.

Jedna z masywnych szuflad okazała się być, ku jej zdziwieniu, wysuwającym łóżkiem. Po wyciągnięciu innej jej oczom ukazał się nocny stolik z lampą. Projektant tego domu miał swoiste poczucie humoru, ale Bree już wiedziała, gdzie będzie spać.

Każdego jednak wieczoru, przed wejściem na górę, skrupulatnie zamykała drzwi od pokoiku przy gabinecie i słała tam łóżko. Lepiej, by Simon myślał, że nadal w nim sypia. Czy zawdzięczała to temu małemu fortelowi, czy też cudu dokonały ćwiczenia i zdrowa dieta, które mu zaaplikowała, w każdym razie przez trzy ostatnie noce nie miała żadnych spóźnionych odwiedzin.

I całe szczęście, bo kiedy nadchodziła pora udania się na spoczynek, była wykończona. Ziewając wysunęła łóżko. Kawał urwisa z tej Jessiki. Miała wybijałą wyobraźnię, nieujarzmiony charakter i była uparta jak koziół. Bree rozpoznawała w niej siebie samą z okresu dzieciństwa.

Zgasła górne światło, podeszła w ciemnościach do okna wychodzącego na północ i otworzyła je, starając się zrobić to jak najciszej. Noc była dziś wietrzna i niespokojna. Jej nagą skórę owionął od razu prąd zimnego powietrza, wywołując gęsią skórkę i odpędzając senność, choć jeszcze przed chwilą padała z nóg.

To zakrawało na szczyt ironii. Rozwiązała problem nocy Simona, a sama nabawiła się bezsenności. Wraz ze zgaszeniem światła zaczynała ją rozsadzać niespożyta energia.

W dzień było jeszcze gorzej. Jessica nie mogła usiedzieć przez moment na miejscu. Włóczyły się po okolicznych wzgórzach, bawiły, ale na Bree spoczywał również obowiązek gotowania i sprzątanía. Nawet nie wiedziała, że tak bardzo brakowało jej domu. Nie motelu, nie wynajętego pokoju, ale miejsca, gdzie dzieci robią potworny bałagan, z kuchni dolatują smakowite zapachy, a okna błyszczą, bo właśnie zostały umyte.

Brakowało jej tego.

Bezpieczeństwa, znajomych kątów, nawet prac domowych, i zdecydowanie towarzystwa dzieci. Zawsze chciała mieć dziecko. Blask księżyca znikającego za chmurami po raz ostatni prześwietlił jej zamknięte powieki. Tak. Zawsze chciała ich mieć z pół tuzina.

Dygocząc, zamknęła okno i wślizgnęła się do łóżka. Pościel była przeraźliwie zimna, ale zwinęła się w kłębek, podciągnęła kolana pod brodę i stopniowo się rozgrzała. Krążyła myślami wokół rodzin i dzieci; myślała o domach rodzinnych, o bezpieczeństwie i o Jessice. Myślała o kanionach Badlands, w których hula wiatr, i o dziejach tej ziemi, którą Siuksowie nazywali Mao Sica.

A kiedy była już dostatecznie zmęczona, pozwoliła sobie na myśli o Simonie.

Zaczął już lepiej odnosić się do Jess. Kiedy odciągnęło się go od pracy, nakarmiło czymś smacznym, zmusiło, by odpoczął, stawał się innym człowiekiem. Ale takich chwil nie było wiele. Simon pracę zawodową zawsze będzie przedkładał nad życie osobiste.

Na szczęście nie zanosiło się na bliższy związek z tym mężczyzną. Mieli ze sobą tyle wspólnego, co skowronek i sowa, i oboje o tym wiedzieli. Wystrzegał się jej bardziej niż drutu kolczastego. Ani razu jej nie dotknął, nawet nie próbował. Nie licząc wieczornych partii szachów – który to zwyczaj zaprowadziła, by odciągnąć go od pracy – unikał z reguły przebywania z nią w tym samym pomieszczeniu.

Czuła się z Simonem bezpieczna, bardziej niż z którymkolwiek mężczyzną. Było to cudowne, luksusowe poczucie rozkosznego bezpieczeństwa.

Około drugiej nad ranem usłyszała cichy trzask zamka.

Rozdział 5

W pierwszej chwili pomyślała, że ten trzask przekręcanego w zamku klucza jest wytworem jej wyobraźni. Nie wyczuwała żadnego poruszenia, nie słyszała żadnego innego dźwięku. Gruba powłoka chmur odbierała wszelką nadzieję na pojawienie się księżyca. W pokoju było tak ciemno, że widziała tylko ledwo zarysowane kontury przedmiotów i, Boże, jakże była zmęczona. Już od ponad godziny przewracała się – z boku na bok i ilekroć zamknęła oczy, zaczynały ją nawiedzać ponure myśli. Jeszcze raz spróbowała sobie wmówić, że szczęk zamka był tylko złudzeniem. No bo w jaki sposób Simon mógłby ją tu znaleźć?

A jednak znalazł. Dostrzegła jakiś ruch i zanim zdążyła otworzyć usta, jego biodro wgniotło materac tuż obok.

Miała ochotę zaskowyczeć jak zrozpaczony pies. Pierwszy raz był intrygujący, drugi już denerwujący, a trzeci – do licha, do trzeciego nie powinno w ogóle dojść!

– Wracaj do swojego łóżka, Simonie.

Do tej pory jej słuchał. Natychmiast reagował na jej polecenia. Tym razem przysunął się bliżej. Pewnym ruchem, zupełnie jakby widział w ciemnościach, odszukał dłońmi jej głowę. Długie, zimne palce zacisnęły się najpierw na jej zmierzwionych włosach, a potem zatonęły w ich gęstwinie. Ucisnął delikatnie kciukami jej rozpalone bólem głowy, pulsujące nie nadchodzącym snem skronie.

Uczucie było wspaniałe. Tak cudowne, że przez krótką, króciutką sekundę poddała się niemal pieśczołiwiej magii jego palców i przymknęła powieki. Niemal.

– Słuchaj, no, to po prostu bezczelność. Wstawaj, wyjdź stąd drzwiami i wracaj na dół, do swojego łóżka.

Takie szczegółowe instrukcje dotąd skutkowały. Dzisiaj warte były funta kłaków. Dotknął wskazującym palcem jej wargi, nakazując milczenie. Zagłębił znowu palce w jej włosach i zaczął masować wierzch głowy. Pocierał i ugniatał go wprawnymi, powolnymi, przynoszącymi ukojenie ruchami.

Bree postanowiła go obudzić. Od strony technicznej problem sprowadzał się do zwyczajnego, silnego potrząśnięcia, ale wolała nie uciekać się do tak prymitywnej metody. Po pierwsze, hamował ją stary ludowy przesąd przestrzegający przed budzeniem lunatyka. Może to i głupie, ale lepiej nie ryzykować. Kto wie, czy tak brutalne przebudzenie nie skończyłoby się dla niego jakimś głębokim, nieodwracalnym, strasznym urazem?

Była też druga, bardziej niepokojąca przyczyna, która kazała jej zarzucić ten

pomysł. Nawet za pierwszym razem nie bała się pogrążonego w transie Simona; owszem, przestraszył ją z początku, zachowywał się jednak tak subtelnie, wyglądał na tak dziwnie bezbronny, że nawet przez myśl jej nie przeszło, by mógł jej wyrządzić jakąkolwiek krzywdę.

Nie obawiała się też, że coś jej zagraża ze strony rozbudzonego Courtlanda, nie była jednak pewna, jak by zareagował przytomniejąc w środku nocy w jej łóżku, i to zupełnie nago.

Zebrała w garść koc, który nie chronił jej przed niczym, i przycisnęła go do piersi. Nie wzbudzały dzisiaj w Simonie najmniejszego zainteresowania. Skończywszy masaż głowy skupił się bez reszty na ramionach. Uciskał, ugniatał i rozcierał jej mięśnie w prawym, potem w lewym barku.

Poszukała wzrokiem jego majaczącej w mroku twarzy i wpatrzyła się w nią, usiłując bezskutecznie zrozumieć, co nim powoduje. Czyżby śnił? Czy stąd wynikało jego zachowanie – z działania pod wpływem jakiegoś snu? Może tylko w ciemności potrafi się rozluźnić i poniechać czujności.

Jeśli nawet tak było, problem pozostawał. Czuła siłę jego dłoni, widziała marzycielską tkliwość w jego oczach, wyczuwała bliskość obnażonego, ciepłego ciała. Przeszedł ją dreszcz seksualnego podniecenia. Żaden kochanek nie wzniecił w niej jeszcze takiego poczucia intymności. Z żadnym mężczyzną nie czuła się tak wspaniale.

– A może – szepnęła desperacko – odprowadzić cię do łóżka? Chcesz? Może wreszcie dotrze do ciebie, że to ja, Simonie. Gdyby przyjąć dla twoich gustów skalę od jednego do dziesięciu, chyba bym się w niej nie zmieściła. Wystarczy, że zbliżymy się do siebie na pół metra, a już jeżymy się jak dwa zmokłe kocury...

Znowu musnął palcem jej usta. Tym razem przesunął kciukiem po krawędzi najpierw dolnej, a potem górnej wargi. Był to dotyk kochanka. Jednoznacznie erotyczny i podniecający.

Bree zamknęła oczy modląc się o cudowną odpowiedź, jak ma się zachować. Simon, jak gdyby nigdy nic, podjął przerwany masaż. Ramiona, przedramiona, dłonie. Po chwili cała była już rozkosznie rozleniwiona, rozluźniona. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że nadal ściska w dłoni koc.

Skończywszy podciągnął się wyżej i usiadł wsparty plecami o wezglowie łóżka. Zanim zorientowała się, co zamierza, wsunął jej dłonie pod pachy i przyciągnął do siebie. Przez kilka sekund koniuszkami palców uciskał boki jej piersi, ale był to kontakt czysto przypadkowy.

Położył sobie jej głowę na piersi, a rękę przeprowadził za swoimi plecami i wokół talii. Potem podciągnął koc przykrywając ją nim starannie po samą szyję.

Czekała w napięciu przez jedno uderzenie serca, ale najwyraźniej nie zamierzał posuwać się dalej. Żadnych pocałunków, żadnych uścisków. Odwieść kobietę od zmysłów, sprawić, by poczuła się wielbiona i pożądana, rozpalić ją do białości... i iść spać. Na siedząco. Tuląc ją do siebie.

Bree szarpnęła się. Jego ramię łagodnie, ale stanowczo przytrzymało ją. Wsunął dłoń w jej włosy i przyciągnął z powrotem do swej piersi. Bree uniosła kolano. Zachichotał cicho. Czy zdawał sobie z tego sprawę?

– Do cholery, Simonie. Nie wolno ci tak ze mną postępować!

Uspokajająco, pocieszająco, przycisnął usta do czubka jej głowy. Ale jej nie puścił. Odniosła niejasne wrażenie, że on wie, jak jest przygnębiona, że wie, jak dokuczyła jej dzisiaj nie dająca zasnąć samotność.

Nie, on nie mógł tego wiedzieć.

On nic nie wiedział. A jednak nie odchodził. I tulił ją do siebie. Włoski porastające jego klatkę piersiową łaskotały ją w policzek. Słyszała rytmiczne uderzenia jego serca. I nie wiadomo kiedy zasnęła.

O szóstej rano miejsce obok niej było puste. W domu panowała niczym nie zmacona cisza i bezruch. Było zimno. Idealne warunki do odrobienia zaległości w spaniu. Od przybycia do Badlands Bree nie przespala jeszcze spokojnie jednej nocy. Nie bądź idiotką, nakazała sobie w myślach, zamknij oczy. Ale nie mogła. Pochłaniało ją bez reszty ssanie paznokcia i gapienie się na plamki na suficie.

Podszedłeś mnie, Courtland, i wcale mi się to nie podoba, pomyślała.

Wylegiwanie się nic jej nie da. Zła i rozdrażniona zwlokła się z łóżka i naciągnęła dzinsy oraz bawełnianą koszulkę z długimi rękawami. Zeszła bosą po schodach, mając jeden i tylko jeden cel. Człowiek albo zwierzę, które ważyłoby się wejść jej teraz w drogę, przekonałoby się, co to znaczy prawdziwa brutalność.

Przekraczając próg kuchni stwierdziła rozczarowana, że ktoś już tam jest.

Simon nie zapalił nawet światła. W pomieszczeniu panował półmrok, ale zorientowała się od razu, że tak samo jak ona nie spodziewał się towarzystwa. Nawet się jeszcze nie uczesał. Był bez koszuli, w samych tylko sztruksowych spodniach, a brodę porastała mu gęsta szczecina. Wyglądał na człowieka, który dopiero co wylazł z łóżka kobiety po całej nocy ognistego seksu.

Bo i wylazł niedawno z łóżka kobiety, pomyślała ze złością Bree. Z jej łóżka. Z tym, że się z nią nie kochał; pomasażował ją tylko i nie mogła pojąć, po co właściwie przyszedł do niej w środku nocy. Szukał towarzystwa? Ale przecież Simon jest przystojny, inteligentny i zamożny. Gdyby szukał towarzystwa, mógłby mieć kobiet na

pęczki. Ładnych, eleganckich, władczych kobiet. A jednak Bree nie mogła oprzeć się idiotycznemu wrażeniu, że Simon jej potrzebuje. Jej albo kogoś innego. I to tak bardzo, że głęboko zakorzenione poczucie samotności nosi go po nocy.

W prawej ręce trzymał staroświecki dzbanek do kawy, a w lewej łyżeczkę. Zauważył ją dopiero wtedy, kiedy stanowczo wyrwała mu z rąk obydwie przedmioty. Nie ulegało wątpliwości, że nie ma teraz do czynienia ze swoim namiętym masażystą, a z groźnym panem Courtlandem. Sprężył się w sobie, jego ciemne oczy, zmętniałe ze zmęczenia, w jednej chwili ożyły.

– Umiem jeszcze zrobić sobie kawę.

– Wiem, że umiesz. Kosztowałam już twojej lury. O, Boże. Raczył się uśmiechnąć. Prawdopodobnie nie zdawał sobie nawet sprawy, że najłżejszy uśmiech przeistaczał go z zimnej ryby w całkiem sympatycznego faceta.

– Pomóc ci?

Pomóc? Jeśli chciał jej pomóc, to tydzień temu powinien zatrzaskać jej drzwi przed nosem i zostawić na pastwę burzy.

– Muszę z tobą porozmawiać – oznajmiła.

– Przed wypiciem kawy? – spytał zdziwiony. Miał rację. W tej chwili zabiłaby każdego dla grama kofeiny. Simon wyciągnął dwa kubki, ona nalewała. Upili jednocześnie po łyku aromatycznego, ciemnego naparu, przełknęli i parząc sobie języki pociągnęli z kubków jeszcze raz. Ich oczy spotkały się. Malowało się w nich szczere uznanie dla napoju. Zachowywali się jak narkomani.

– Muszę wyjechać, Simonie – odezwała się. – Jak najszybciej, a najlepiej dzisiaj. Pewnie ustaliłeś już miejsce pobytu matki Jessiki?

– Tak. Jest w Oregonie.

– W Oregonie?

– W Oregonie. – Simon opadł na drewniany fotel u szczytu kuchennego stołu. – Telefonowała wczoraj. Okazuje się, że wynajęła domek kempingowy na wybrzeżu. Prymitywny. Nie ma tam nawet telefonu...

Szczegóły nie obchodziły Bree. Usiadła na krześle i podciągnęła kolana pod brodę.

– A co z Jessicą?

– Według Liz nasza córka należy do mnie. Może nie na zawsze, ale na pewno teraz. – Przesunął wzrokiem po jej włosach, po małych, czerwonych ustach. Szybko sięgnął po swój kubek. – Widuję się z Jessicą regularnie, ale zazwyczaj są to krótkie spotkania – zorganizowane dni, zaplanowane weekendy. Liz twierdzi jednak, że to chowanie się, te strajki głodowe, słowem wszystkie najgorsze

wyskoki Jessiki mają jasno określony cel. Ona chce być ze mną. Poza tym uważa, że u mnie Jessice będzie najlepiej. Powiedziała, że za trzy tygodnie porozmawiamy.

– Za trzy tygodnie? – Głos Bree przeszedł w pisk.

– Dlaczego wczoraj mi tego nie powiedziałaś?

– Chciałem... – posłał jej szelmowskie spojrzenie – ale akurat wtedy wypadła nam ta herbatka.

Zobaczyłem, jak bawisz się z moją córką. Zrozumiałem, że ja tak nie potrafię. I pomyślałem sobie, że dobrze by było zatrzymać cię tu jeszcze na jakiś czas.

Typowe branie pod włos, pomyślała przygnębiona Bree. Ani myślał ją błagać. Ani myślał przypominać, że w tym domu zaroi się lada dzień od hydraulików, cieśli, elektryków i kolekcjonerów staroci, specjalizujących się w dinozaurach, i Bóg jeden wie, jak poradzi sobie wtedy z Jess.

Zamierzał tylko patrzeć na nią tymi swoimi pięknymi, ciemnymi, zmęczonymi oczami.

Simon potrzebował kogoś do pomocy. Kogoś, kto zająłby się jego córeczką, tym pięknym, starym domem i, chociaż mógł nie zdawać sobie z tego sprawy, problemem jego nocnych eskapad. Jeśli zostawi go samemu sobie, wszystko może się zdarzyć. A jeśli spadnie ze schodów? A jeśli wyjdzie w lunatycznym transie z domu i zabłądzi?

– Przyjmujesz tę posadę? – spytał wyczekująco.

– Nie szukam ani nie zamierzam szukać pracy.

– Dobrze zapłacę...

– Och, przestań wreszcie z tymi pieniędzmi, Simonie. Powiedziałam ci już, że mi na nich nie zależy – odburknęła.

Spojrzał na nią jak lekarz, który chce sprawdzić pacjentowi dno oka. Najwyraźniej otaczał się ludźmi, których łatwo było zachęcić czekiem z okrągłą sumą. Jej postawa była dla niego całkowicie niezrozumiała.

– Opowiedz mi o swojej byłej żonie – poprosiła.

– O mojej żonie? A co wspólnego ma, u licha, Liz z twoim pozostaniem?

– Nie powiedziałam, że ma. Pomyślałam sobie tylko... – Któregoś dnia utnie sobie ten niesforny język. – Pomyślałam tylko sobie, że... nietypowo się o niej wypowiadasz.

– Nietypowo? Jak to?

– Mówisz. o niej bez urazy. Jeśli między wami istnieje jakieś napięcie, wasza córka tego nie odczuwa.

– Większość rozwodników wspomnienie eksmałżonek boli jak nie zagojona

jeszcze rana. Ale to właściwie nie moja sprawa – dorzuciła na zakończenie. Simon uniósł brwi.

– Nie miałaś do tej pory podobnych obiekcji.

– Nie rozumiem.

– Pewien jestem, że są ludzie dorównujący ci wścibstwem. Ale mniejsza z tym. To, o co pytasz, nie jest żadną tajemnicą. Żyliśmy z Liz na przyjacielskiej stopie jako małżeństwo i utrzymujemy nadal przyjazne stosunki po rozwodzie. I to wszystko.

– Przestań, Courtland. Gdyby naprawdę tak dobrze się między wami układało, nadal bylibyście małżeństwem.

Mierzył ją przez chwilę poważnym spojrzeniem.

– Mamy różne poglądy na małżeństwo, Bree.

Poznałem Liz wkrótce po tym, jak straciła w wypadku samochodowym oboje rodziców. To był dla niej trudny okres... i zjawiłem się ja. Przez jakiś czas na tym opierało się nasze małżeństwo. Potrzebowała wtedy poczucia bezpieczeństwa, stabilizacji, opieki.

Nadszedł jednak czas, kiedy przestałem jej być potrzebny.

Recytował to beznamiętnym tonem. Same fakty, żadnych emocji.

– Ciągnęliśmy to jeszcze rok przez wzgląd na Jessicę, ale chyba niepotrzebnie. Liz chciała odejść, ja o tym wiedziałem i w końcu doszło między nami do zimnej wojny – Jessica tylko na tym ucierpiała. Nie wiem, jak rozwodzą się inni, ale z mojego punktu widzenia w żadnym wypadku nie ma usprawiedliwienia dla scenariusza, w którym elementem przetargowym staje się dziecko. Nie zgadzam się z moją byłą żoną w wielu sprawach – jest przewrażliwiona, zbyt impulsywna, pozwala, by Jessica wchodziła jej na głowę. Ale kocha małą, a więc nic nie mówię i kiedy tylko mogę, staram się jej pomagać. Masz jeszcze jakieś pytania?

Bree zrozumiała, że Simon chce na tym zakończyć temat, ale czuła się tak, jakby weszła do kina pod sam koniec seansu i przegapiła wszystkie ważne sceny wyświetlanego filmu. Czy poślubił Liz, bo tego chciał, czy też dlatego, że ona go potrzebowała? Czy poczuł się zraniony, kiedy dowiedział się, że żona chce od niego odejść? Czy zdaje sobie sprawę, jak rzadko można usłyszeć od mężczyzny deklarację, że poświęciłby wszystko w imię odsunięcia dziecka od małżeńskich konfliktów? Nie mogła nie zadać tego jednego, ostatniego pytania:

– Kochałeś ją?

– Szanowałem – odparł szczerze i bez emocji.

– Czyli nie kochałeś?

– Nie. – Oczywiście miał teraz zimne. – Liz pierwsza ci powie, że nie jestem typem

mężczyzny namiętnego. Ani zdolnego do okazywania uczuć. Czy to zaspokaja twoją ciekawość, Reynaud?

Dlaczego ten idiota wmawia sobie, że jest nieczułą, zimną rybą, przemknęło Bree przez myśl. Spróbowała sobie wyobrazić, jaki jest w łóżku na jawie i zmieszana spuściła wzrok na resztki kawy w swoim kubku. Coś tu było nie tak, bo zaczynały jej się zacierać różnice między Simonem dziennym i nocnym.

– Nie powiedziałaś jeszcze – zauważył – skąd ta nagła decyzja wyjazdu.

– Chcę wyjechać, i już.

– Jesteś tego pewna?

– Jestem! – Zerwała się z krzesła pchana potrzebą – ruchu, działania. Kubek Simona był już pusty, chwyciła więc za dzbanek.

– A mnie się wydawało, że podoba ci się tutaj.

– Skierował wzrok na jej szyję i zatrzymał go na dekolcie rozciągniętej bawełnianej koszulki. – Widzę, że nie nosisz już tego naszyjnika. – Patrzył, jak Bree leje kawę do pełnego już kubka, klnie pod nosem po francusku i wyciera blat ścierką. – Wiem o nim od Jessiki. Podobno był to jakiś talizman i nazywałaś go „meron”, czy jakoś tak.

– *Maron* – poprawiła go automatycznie.

– No więc, *maron*. – Wywinął starannie język, żeby prawidłowo wymówić to słowo. – Opowiadałaś Jess taką ludową bajkę o małych nasionkach, które pływają w wodzie na moczarach. Podobno słowo „*maron*” znaczy zabłądzić. I Cajunowie wierzą, że w tych nasionkach żyją zabłąkane dusze, a więc przesądni noszą przy sobie takie nasionko. Uważają, że dzięki temu zabłąkana dusza ma zawsze gdzie mieszkać. Ty chyba nie jesteś przesądna, co, Bree?

– Na miłość boską, wchodzimy w dwudziesty pierwszy wiek. Oczywiście, że nie jestem przesądna – odparła z irytacją.

– Hmmm. – Dmuchnął na kubek świeżej, parującej kawy i upił łyk. – Ale taki naszyjnik to chyba niezbyt stosowny talizman dla kobiety, która nie ma domu i nie chce go mieć. Rozumiem, że najbardziej odpowiada ci mieszkanie w samochodzie, ale...

Jeszcze jedna wycieczka pod adresem jej stylu życia, a udusi go. Wyjazd będzie jedynym sensownym wyjściem, doszła do wniosku i miała mu to już oznajmić, ale w tym momencie w progu kuchni stała Jessica.

Dziewczynka rozczesywała splątane włosy grzebieniem ze skorupy żółwia. Miała na sobie czerwoną koszulkę i pomarańczowe dżinsy. Stroju dopełniały jaskrawożółte skarpetki. Powieki za okularami w niebieskiej oprawce miała pociągnięte grubo

zielonym cieniem, a uszy zdobiła para dyndających klipsów, z którymi wyglądała jak ulicznica.

– Cześć, tatusiu. Cześć, Bree. Co jest na śniadanie?

Na widok małej Bree zachichotała, ale jej ojciec zachował powagę. Ten makijaż, te klipsy, ta kolorystyka – Simon zmierzył córkę wzrokiem od stóp do głów, po czym rzucił błagalne spojrzenie Bree. Zniknęła gdzieś sztywność biznesmena, ta aura żelaznej, chłodnej samokontroli. W jego oczach malowała się rozpacz. Co mam robić? brzmiało nieme pytanie. Na miłość boską, poradź coś!

Simon kochał Jess. Czuł się za nią odpowiedzialny. Oddałby pewnie życie za tę czteroletnią trzpiotkę, ale najwyraźniej nikt mu nigdy nie powiedział, że ma prawo cieszyć się swoim dzieckiem.

Wyjadę na pewno i to wkrótce, zdecydowała Bree, ale jeszcze nie dziś.

Rozdział 6

Na ekranie monitora widniał skomplikowany schemat elektroniczny – projekt zautomatyzowanego systemu magazynowego. Simon miał tę konstrukcję opracowaną na długo przed przystąpieniem do przetargu o kontrakt z Bostonem. Instalował go już w trzech innych firmach, ale tym razem jeden z inżynierów klienta zażądał wprowadzenia kilku udoskonaleń. Pomysł był dobry, podnosił jednak koszt realizacji o dobre siedemdziesiąt tysięcy dolarów.

Simona zawsze zadowalały tylko rozwiązania najlepsze i teraz również nie zamierzał iść na łatwiznę. Korzystając z graficznych możliwości komputera, tworzył rozmaite warianty modyfikacji układu, po czym testował je matematycznie – bez powodzenia. Nic mu nie wychodziło. Optymalne rozwiązanie musiało istnieć; pozostawała tylko kwestia znalezienia go do następnego wtorku. Nie był jedynym konsultantem technicznym zabiegającym o ten kontrakt. Konkurencja była duża.

Bardziej niż na samym kontrakcie zależało mu na rzetelnej konsultacji wstępnej, ale przez ostatni tydzień nie było warunków do koncentracji. Z jakiegoś odległego pokoju dochodziło szuranie drabin przeciąganych po drewnianej podłodze. W całym domu rozlegał się nieustający stukot młotków. Ktoś gdzieś wciąż gadał, tupał, a teraz wybił go z transu dźwięczny głosik tuż obok:

– Bree mówi, żebyś wyłączył komputer, tatusiu.

– Teraz nie mogę, słoneczko – mruknął. Wielomilionowy kontrakt, a on ugrzązł w krainie kojotów i psów preriowych.

– Ona mówi, że musisz. Mówi, że ci panowie chcą odkręcać korki.

– Odkręcać korki?! – Pierwszym jego skojarzeniem była jakaś libacja wśród robotników. Dopiero po chwili dotarło do niego, że Bree przekazuje mu przez Jess ostrzeżenie o rychłym wyłączeniu prądu.

Wprowadził szybko do pamięci owoce dotychczasowej pracy i wyłączył zasilanie. Lepkie paluszki objęły go od tyłu za szyję w duszącym chwycie.

– Hej – wykrztusił i dostał za to całusa w policzek.

Całusa lepkiego od dżemu. Przed pojawieniem się tu Bree, pojęcia ładu i porządku stanowiły dla Jessiki czystą abstrakcję. Teraz było z tym jeszcze gorzej.

Jedynym sposobem wyswobodzenia się z tego śmiertelnego uścisku było połaskotanie jej pod pachami. Jessica odskoczyła z chichotem, który wywarł zadziwiająco kojący wpływ na jego zszarpane nerwy.

Uległ rzadkiemu impulsowi i porwał córeczkę na ręce. Jessica zachichotała

jeszcze głośniej. Ten ciężar w ramionach, ten zapach słodkiej, czteroletniej istotki z usmarowaną dżemem bródką – trudno było sobie wyobrazić wspanialsze uczucie.

Do tej pory Simon zachowywał wobec córki chłodny dystans. Sądził, że tak trzeba. Jess była czymś cennym i świadomość tego napawała go poczuciem strasznej odpowiedzialności. Liz nawet ze słownikiem w ręku nie potrafiłaby zdefiniować słowa dyscyplina, uważał więc, że obowiązek wpojenia córce karności spada na niego. Poza tym nie potrafił otwierać się emocjonalnie przed ludźmi i od dnia, kiedy Jess przyszła na świat, czuł podświadomie, że źle wywiązuje się z obowiązków ojca. To przecież dziecko, dźwięczały mu w uszach słowa Bree. Tylko dziecko. Kochaj je po prostu do szaleństwa. Czy to takie skomplikowane?

– Dokąd idziemy?

– Do najbliższej umywalki umyć ci ręczki i buzię.

– Nie da rady – oznajmiła ponuro Jessica.

– A ja ci mówię, że da radę.

– Nie da, tatusiu. Naprawdę. Nie ma wody. Zatrzymał się na środku kuchni. Nie ma wody, nie ma prądu, po domu kręci się hałasując i śmiejąc ze trzydziestu chłopca – jeszcze jeden taki tydzień, a oszaleje.

Posadził Jess na kuchennej szafce i sięgnął po paczkę papierowych serwetek. Do tempa pracy brygady remontowej nie miał żadnych zastrzeżeń. Za tydzień wszystko będzie gotowe: nowy dach, nowa instalacja elektryczna, nowy piec, elewacja i ściany od wewnątrz naprawione i pomalowane. Bałagan był straszliwy, ale szybko się skończy.

Od strony technicznej wszystko szło świetnie, ale dwóch rzeczy nie przewidział. Po pierwsze nastawienia Jess, która była niemal tak samo zachwycona tą archaiczną, pseudogotycką potwornością jak Bree. Ilekroć napomknął o sprzedaży domu, obie spoglądały na niego jak na oprawcę niewinnych dzieci.

No a do tego ci robotnicy. Miejscowa siła robocza składała się w przeważającej mierze z kowbojów. Chłopcy byli dobrymi fachowcami; z tego, co Simon wiedział, każdy, kto wychował się na farmie, jest automatycznie majstrem od wszystkiego. Płacił im dobrze, a dowodem ich fachowości była jakość prac. Problemów nastęrczały natomiast stosunki męsko-damskie. Wszyscy robotnicy byli mężczyznami, co zdawało się bardzo odpowiadać Bree, myślał ponuro.

Chłopcy nadskakiwali jej jak jeden mąż. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby skręcając za jakiś róg nie przyłapał któregoś z młodszych na próbach flirtowania, albo któregoś ze starszych przekomarzającego się z nią. Jeśli nie wybrała się gdzieś z Jess, wszędzie było jej pełno. Przebijając tymi szczupłymi nogami roznosiła robotnikom kanapki,

podawała narzędzia, pojawiała jak na zawołanie wszędzie tam, gdzie któryś akurat potrzebował pomocy.

Już na samym początku Simon zauważył, że Bree nie zdaje sobie sprawy, co się święci. W jej mniemaniu oni wszyscy odnosili się tak do niej z czystej sympatii. Nie mieściło mu się w głowie, jak kobieta, która podróżuje samotnie po kraju, może być tak cholernie naiwna. Połowa tych młodych byczków miała na nią chętkę, a okolica nie była bezpieczna. Bree zdawała się nie rozumieć, jak działa na mężczyznę jej południowy akcent, niezwykle oczy i to lekkie kołysanie biodrami.

– To nie zejdzie, tatusiu – mruknęła cierpliwie Jessica.

Zużył już pięć serwetek, ale suchy papier rozmazywał tylko lepkaż maż po buzi małej.

– A co to w ogóle za świństwo?

– Rzodkiewki.

– Rzodkiewki się nie kleją.

– Na pewno rzodkiewki. Nie jadłam wcale tych białych ciasteczek z dżemem w środku – odparła niewinnie Jessica.

Postawił małą na podłodze zdając sobie sprawę, że oto nadarza się idealna okazja do pouczenia jej w starannie dobranych słowach, jakie znaczenie ma prawdomówność, zaufanie i uczciwość, ale w tej chwili był trochę za bardzo rozkojarzony.

– A gdzie Bree, kochanie? – spytał od niechcienia.

– Z jednym panem.

– Z jakim panem?

– Z tym, co odkręca korki.

Jessica wybiegła z kuchni. Simon stracił jeszcze minutę na bezskuteczne próby starcia z palców tego przeklętego dżemu, w końcu dał za wygraną i ze złością cisnął wszystkie serwetki do kosza. Miał tysiąc rzeczy do zrobienia. Inwentaryzacja zbiorów dziadka Fee zgromadzonych w pokoju na górze, dopilnowanie dekarzy, sprawdzenie, jak idzie malarzom na parterze, no i, ma się rozumieć, problem starej instalacji elektrycznej. Simon przeanalizował długą listę priorytetów i doszedł do jedyne go rozsądnego wniosku.

Najważniejsza była elektryczność. Skrzynka z bezpiecznikami znajdowała się w piwnicy. Schodząc tam usłyszał dwa głosy.

– Poświeć tutaj, Bree.

– Już. Teraz lepiej?

Przy wyłączonym świetle w piwnicy było mroczno i ponuro. W kącie stała poobijana pralka, obok suszarka. Warsztat wyglądał jak prehistoryczne znalezisko i

pozostawał w jaskrawym kontraście z błyszczącymi rurkami świeżo zainstalowanego pieca ogrzewczego. Sceneria ta zupełnie Simona nie interesowała. Całą uwagę skupił na dwóch przytulonych do siebie postaciach przy skrzynce z bezpiecznikami.

W jednej z nich rozpoznał Toma. Chłopak był dobrym pracownikiem. Nie tylko nabył uprawnień do wykonywania zawodu elektryka, ale zdążył już nabrać doświadczenia w tym fachu pracując od małego u boku ojca. Był wysokim blondynem o nieśmiałym uśmiechu i zawadiackim chodzie. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia jeden lat. I istniała poważna obawa, że nie dociągnie do trzydziestki, bo Simon zamierzał go ukatrupić, jeśli nie przestanie łaźnić za Bree. Stali teraz oboje ramię przy ramieniu. Tom sprawdzał po kolei wszystkie bezpieczniki, a Bree przyświecała mu latarką. Wspinając się na palce starała się kierować mu wiązkę światła na rękę. Simon nie mógł zarzucić chłopcu zaniedbywania pracy, ale według niego bardziej od rąk zajęte były oczy Toma.

– Po twoim akcencie od razu poznać, że nie jesteś stąd.

– Pochodzę z Luizjany.

– Nie zalewasz? Bagna, magnolie, piżmaki i tak dalej?

Bree zachichotała.

– Zgadza się.

– Ale tańczyć to chyba nie lubisz. Bree znowu się roześmiała.

– A czy w czerwcu nie świeci słońce?

– Chodzi mi o zwyczajną wiejską potańcówkę, nic specjalnego. Ludziska się schodzą, są tańce ludowe, trochę rock and rolla...

Simon odchrząknął znacząco.

– Trzeba było powiedzieć, że potrzebujesz pomocy, Tom – odezwał się jowialnie.

Oboje spojrzeli na niego zaskoczeni. Nie patrząc na Bree Simon wyjął jej z rąk latarkę i skierował snop światła na skrzynkę z bezpiecznikami.

– We dwóch szybko się z tym uwiniemy. Znam się trochę na elektryczności. Szkoda, że od razu nie zwróciłeś się do mnie.

W jego słowach nie było nic zabawnego, nic niestosownego. Nic, co usprawiedliwiłoby śmiech, którym nagle wybuchnęła Bree.

Simon nie spodziewał się na kolację niczego wymyślniejszego niż kanapki z serem. Przez pół dnia nie było ani prądu, ani wody i trudno było wymagać od Bree, żeby w tych warunkach błysnęła kulinarną wyobraźnią.

Bree pogodnie zasugerowała, że jego życie jest zbyt uzależnione od elektronicznych cudeniek i na oczekaniu upichciła posiłek, na widok którego nawet mnich złamałby post. Chleb i ziemniaki o smaku mięty upiekła w piecu opalanym

węgłem, a pieprzny stek na ruszcie przed domem.

Węgielki jeszcze się żarzyły. Około siódmej wieczorem zaczęła spadać temperatura i niebo na zachodzie przyjęło barwę głębokiego granatu. Simona nie interesowała poetyka pomarańczowych węgielków i granatowego nieba, ale sceneria ta odciągała przynajmniej jego oczy od Bree.

Siedział na frontowym ganku z talerzem na kolanach, wsparty plecami o kamiennego lwa. Drugiego w charakterze oparcia wykorzystywała Bree. Jessica skończyła już kolację i zrywała dzikie kwiaty na kawałku prerii, którą stryjeczny dziadek Simona nazywał trawnikiem. Simon nadal nie rozumiał, dlaczego jedli na zewnątrz. Roboty hydrauliczne dobiegły końca, w kuchni panował już jako taki porządek, ale Bree się uparła.

Uległ jej kapryswi.

Prawdopodobnie nie protestowałby też, gdyby obstawała przy wyniesieniu na ganek srebrnej zastawy.

Smarował metodycznie masłem ostatnią kromkę chleba. Na granicy pola widzenia majaczyły mu jej palce u nóg. Była boso, a paznokcie miała pomalowane jaskrawoczerwonym lakierem. Tego samego koloru były jej usta, których bynajmniej nie malowała. Uda opinały obcisłe białe dżinsy, miała na sobie luźną niebieską bluzkę wyciętą pod szyją w serek, włosy zaś odgarnęła sobie za uszy, żeby jej nie przeszkadzały, jednak ich niesforne, jedwabiste pasemka powiewały swobodnie przy najbliższym podmuchu wiatru.

Odstawiła pusty talerz z lubieżnym westchnieniem zadowolenia. Simon zauważył teraz z rozdrażnieniem, że robiła tak wszystko. Radośnie, lubieżnie, z jedyną w swoim rodzaju kobiecą radością życia, która... działała mu na nerwy.

Nadział na widelec ostatni kawałek steku i przeniósł go na talerz zadowolony, że jednak udało się spożyć posiłek w ciszy i spokoju. Poprzysiągł sobie, że się nie odezwie i nie odezwiał się ani słowem. Dopóki rozmawiali o Jess, nawet nieźle im to wychodziło. Kiedy tylko poruszali bardziej osobiste tematy, albo uderzał w mentorski, pompatyczny ton, albo szybko zamykał się w sobie.

Bree nie zdawała sobie sprawy, jak na niego działa. Nigdy się tego nie dowie. Była pogodna i pełna seksu. Jego życie polegało na wywiązywaniu się z rozlicznych obowiązków. Ona była pełna radości życia – radości, która w nim dawno już wygasła. Mógłby napisać książkę na temat zahamowań. Nie było żadnego, ale to żadnego wytłumaczenia na to, skąd bierze się ten żenujący pociąg, jaki do niej czuł, kiedy byli razem. Dzięki Bogu, potrafił nad nim zapanować.

– No... – Bree wstała i przeciągnęła się. – Chyba pójde się przebrać.

No i wyrwało mu się. A przecież przysięgał sobie, że nie poruszy tego tematu.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz iść na spotkanie z tym chłopakiem. Przecież nic o nim nie wiesz.

Łagodne, błękitne oczy Bree spoczęły na jego twarzy. Odniósł nieprzyjemne wrażenie, że jest ubawiona.

– Tom to już nie chłopiec, Simonie. To bardzo sympatyczny mężczyzna.

– Skąd wiesz, że sympatyczny?

– Od tygodnia kręci się po domu. Dość dobrze go znam. Zresztą to tylko tańce. Jak ci smakował stek? Nie za dużo pieprzu?

– Stek był wspaniały – odparł ponuro. – O której ma po ciebie przyjść?

– Nie przyjdzie. Sama tam pojedę.

– A widzisz? – warknął.

– Co?

– Skoro zorganizowałaś to tak, żeby mieć własny środek transportu, to mimo wszystko nie jesteś do końca pewna, w co się pakujesz.

– Fakt – mruknęła.

– Co to znaczy: fakt?

– To znaczy, że masz rację. Nie chciałam, żeby mnie podwoził. Wolę jechać swoim samochodem. Może on pije. Może nie tylko tańce mu w głowie. Nie sędzę, żeby tak właśnie było, bo inaczej bym się z nim nie umówiła, ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

Poklepała go protekcyjnie po ramieniu, zupełnie jakby miała ze sto lat, a on był jeszcze smarkaczem, nie trzydziestopięcioletnim mężczyzną.

– Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym wyszła na parę godzin, prawda? – spytała słodko.

– Naturalnie, że nie.

– Jeśli jestem ci do czegoś potrzebna...

– Do niczego nie jesteś mi potrzebna. Harujesz tu – jak niewolnica, chociaż wiele razy ci już powtarzałem, że to przesada.

– Myślałam – powiedziała cicho – że będziesz zadowolony uwalniając się ode mnie chociaż na jeden wieczór. Nie wierzę, żebyś lubił przegrywać ze mną w szachy.

Simon był zbyt taktowny, by powiedzieć jej, że wygrywa z nim w szachy tylko dzięki swoim zupełnie zwariowanym i nieprzewidywalnym posunięciom.

– Pomyśl tylko. Cały wieczór ciszy i spokoju.

Zobaczysz, jak ci się to spodoba – powiedziała czarująco i nagle odwróciła głowę spoglądając na Jessicę. – Muszę porozmawiać z twoją córką.

Simon patrzył za nią, jak kołysząc biodrami podchodzi do Jessiki, widział, jak lekki wietrzyk rozwiewa jej czarne włosy i uzmysłowił sobie, że miała rację. Wieczór bez niej dobrze mu zrobi.

Czas po kolacji zarezerwowany był zawsze dla Jess, ale kiedy mała trzpiotka znalazła się już w łóżku, Bree zaciągała go zwykle do kuchni na partyjkę szachów. Szachy były dobrym sposobem na spędzenie wieczoru dla dwojga żyjących w zgodzie dorosłych ludzi. A ściślej, byłyby, gdyby nie te miękkie, czerwone usta, te niezwykle długie nogi i te błyszczące, błękitne oczy, które nie pozwalały mu skupić się na grze. Wszystko w niej było seksowne. Pewnie i zęby szczotkuje w podniecający sposób, pomyślał zgryźliwie.

Sięgnął po herbatę. Rozpoznawszy w swoich rozterkach zwyczajną, starą jak świat żądzę, uspokoił się trochę. Zbyt upokarzała go świadomość, że prawdopodobnie nie byłby w stanie zadowolić jej w łóżku. Bo któż potrafi zaspokoić kobietę o tak niespożytej energii i zmysłowości?

Bree huśtała Jessicę trzymając ją za rączki. Obie zaśmiewały się przy tym do łez. Bree wniosła w ich życie nieoceniony dar śmiechu, ale zdarzało się, że dostrzegał w jej oczach coś nieokreślonego: samotność, tęsknotę, pragnienie... i chyba ból. To były nie zagojone rany kobiety, nie dziewczyny. I w takich chwilach przychodziła mu do głowy głupia myśl, że i ona kogoś potrzebuje.

Może ona kogoś potrzebuje, Courtland, tłumaczył sobie. Ale tym kimś nie jesteś ty. Mieszkając tutaj, Bree znajdowała się pod jego opieką. Był zdecydowany uważać się za jej przyszywanego wujka, choćby miało go to zabić. Jednak gdzieś głęboko kołatała myśl, że gdyby wróciła z tej zabawy z rozmazaną szminką, złamanym paznokciem, z najmniejszym śladem świadczącym, że ten chłopak próbował się do niej na siłę dobierać – to gówniarz pożałuje, że się urodził.

Bree zamknęła drzwiczki swojego volkswagena tak cicho, że nawet mysz by nic nie usłyszała. Na jej zegarku dochodziła druga. Wspaniale rozgwieżdżonego nieba nie kalala ani jedna chmurka, ale noc była chłodna.

Oparła się dla równowagi o maskę wozu i ściągnęła z nóg pantofle na wysokich obcasach. W zetknięciu z zimną ziemią bosa stopy natychmiast jej przemarzły, ale i tak odczuła ulgę. Całe były obolałe od tańca. Przydałby się im dobry masaż, a głowie trochę otrzeźwienia. Dwa piwa. Jej rekord. W stodole było tłoczno, duszno i ciemno od dymu, a muzyka ognista. Tom okazał się fantastycznym tancerzem, a ona miała nadmiar energii do spalenia. Spaliła ją całą.

Nie pomogło.

Powiesiła sobie pantofle za paski na palcu i wstąpiła ostrożnie na stopnie ganku. Tom był uroczy. Trochę zuchowaty, ale to chyba na pokaz. Pozwoliła mu się nawet pocałować na pożegnanie, ale ten pocałunek nie wzbudził w niej żadnych emocji. Równie dobrze mogłaby się całować ze szmacianą kukłą.

A więc i to nie pomogło.

Liczyła, że ten wieczór pomoże jej spojrzeć z pewnej perspektywy na Simona. Zawiodła się. Czy Courtland w ogóle jej pragnął? Nie. Czy ona chce się bardziej angażować uczuciowo w związek z Courtlandem? Nie. Czy on choć raz okazał, że jej pożąda, że mu na niej zależy? Nie. Przynajmniej nie wtedy, kiedy nie spał. To dlaczego gra w szachy z tym człowiekiem, a utarczki słowne, jakie staczali przy śniadaniu, wydawały jej się bardziej podniecające niż cokolwiek, co robiła bez niego?

Po cichutku, tak, żeby nikogo nie obudzić, przekręciła klucz w zamku. Szczęknął trochę, ale nie za głośno. Powoli i ostrożnie przekręciła gałkę u drzwi. Simon musiał zostawić światło w salonie, bo w sieni panował półmrok. Wślizgnęła się na palcach do środka i cicho zamknęła za sobą drzwi. Ziewnęła. Odwróciła się. I wrzasnęła.

– To nie duch. To tylko ja.

– Tak mnie przeraziłeś, że o mało nie umarłam – wykrztusiła przyciskając rękę do serca. – Czemu jeszcze nie śpisz?

– Mogłaś złapać gumę.

– Simonie, zmieniłam już w życiu pięć milionów dziurawych gum. – Siedział w połowie schodów pochylony w przód, obejmując rękami podciągnięte pod brodę kolana. Rękawy koszuli miał podwinięte, włosy w nieładzie i Bree od razu zauważyła, że jest zdenerwowany. Widać to było na pierwszy rzut oka.

– Simon, kiedy był przemęczony, stoczyłby walkę z niedźwiedziem grizli, a potem pokonałby jeszcze lwa.

– Pracowałeś wieczorem – stwierdziła tonem wymówki.

– Przez pół dnia nie było prądu. Oczywiście, że pracowałem.

– I nie wypiteś swojego koniaku?

Spojrzał jej przenikliwie w oczy.

– Reynaud, czy dotrze w końcu do ciebie, że przeżyję bez tej wieczornej dawki? Nie wiem, skąd przyszło ci do głowy, że masz do czynienia z o pojem. Obywam się całe miesiące bez...

– A ja się napiję. Za nas oboje – wpadła mu szybko w słowo. W kuchni panowały nieprzeniknione ciemności i nagły rozbłysk górnego światła na chwilę ją

oślepił. Nalała do kieliszka odrobinę francuskiej brandy dla siebie i pełną szklanekę dla niego.

Nadal tam siedział. Na siódmym stopniu. Zebrała w garść luźne fałdy spódnicy i przysiadła na czwartym. Kiedy podawała mu szklanekę, posłał jej ponure spojrzenie, ale wypił łyk.

– Dobrze się bawiłaś?

– Cudownie! – wykrzyknęła.

– Miałaś jakieś kłopoty?

– Nie takie, z którymi nie mogłabym sobie poradzić. – Jakieś licho podkusiło ją, żeby to powiedzieć.

Simon westchnął. Głośno.

– Pytam tylko dlatego, że Tom tu pracuje. I gdyby się do ciebie dostawiał, jutro już by go tu nie było.

– Simonie?

– Słucham.

– Postaraj się nie zapominać, że mam dwadzieścia siedem lat, dobrze? Gdyby Tom próbował się do – mnie dobierać, to nie przyszedłby tu jutro z powodu podbitego oka i obolałych żeber. – Odchyliła się do tyłu, żeby potrzeć swędzącymi plecami o słupek balustrady. – Lubisz tańczyć?

Bawił się pełną szklaneką, ale nie widziała, żeby pociągnął z niej po raz drugi.

– Nie wiem – odparł sucho. – Nie tańczę. Nigdy nie byłem w tym dobry. Ile ty, u licha wypijaś, Reynaud?

Podniosła kieliszek do ust.

– Morze – skłamała. Dwa piwa na sześć godzin intensywnego wysiłku fizycznego to tyle, co nic. To nie alkohol uderzał jej do głowy. To Simon. – Chcesz, żebym nauczyła cię tańczyć?

– Nie. – Wyjął jej kieliszek z dłoni i odstawił za siebie. – Idziesz do łóżka, Bree. I to natychmiast.

Nie zrozumiała. Wstała gwałtownie i zeszła po schodach, żeby zabrać porzucone tam pantofle.

– Nie miałaś kłopotów z wyprawieniem Jessiki do łóżka?

Skwitował to prozaiczne pytanie zwięzłym „nie” i nie odezwał się już, dopóki nie weszła z powrotem na schody i przystanąła na stopniu, na którym siedział. Wtedy niespodziewanie chwycił ją za przegub. Zadrżała mimowolnie.

– Bree? – Puścił jej nadgarstek. – Wcale się dobrze nie bawiłaś. Jesteś rozdrażniona – powiedział cicho. – Nie wiem, dlaczego zgodziłaś się spotkać z tym

chłopcem. Coś cię gryzie i jeśli potrzebujesz pomocy, to jestem do twojej dyspozycji. Rozumiesz?

– Nie – wykrztusiła, ale poczuła się nagle dotknięta do żywego. Wstrząsnęła nią nie spostrzegawczość Simona, ale ta nutka współczucia w jego głosie.

– Być może włączysz się tak od miesiący po kraju gnana dziką, niepohamowaną żądzą przygód. A może robisz to dlatego, że ktoś cię skrzywdził. Bardzo skrzywdził. Tak jak wtedy na tylnym siedzeniu tamtego buicka?

– Buicka? – powtórzyła bezwiednie, ale zaraz skojarzyła, o co mu chodzi. Kilkanaście dni temu wymknęło jej się coś o przykrej przygodzie, jaką przeżyła mając szesnaście lat. Nie spodziewała się, że Simon to zapamięta ani że wyciągnie z tego niewłaściwe wnioski.

Przez krótką chwilę patrzyła na niego przestraszona. Siedział na pozór spokojnie na schodach o drugiej nad ranem w mrocznym holu. Ale oczy miał roziskrzone i dzikie, a usta zaciśnięte w wąską linię. I wyobraziła sobie, jak przechodzi przez rozdziały jej życia i odnajduje wysokiego, rudowłosego chłopaka, by rozerwać go na strzępy.

– Nikt mnie nie skrzywdził, nie tak jak myślisz – powiedziała cicho. – Nikt mnie nie napadł, nie groził, nie zgwałcił. Nic z tych rzeczy. O wszystko złe, co mi się w życiu przytrafiło, sama się prosiłam.

Kiedy nie odpowiadał, weszła po schodach na podest, przystanąła tam niezdecydowanie, a potem przechyliła się szybko przez barierkę.

– Nie zapomnij dopić koniaku, zanim położysz się spać, Courtland – zawołała do niego.

Szybko zrzuciła z siebie ubranie, włożyła nocną koszulę i poszła spać do swojego pokoju.

Tydzień wcześniej, przy śniadaniu, w porywie szczerości, oznajmiła, że zajmuje ten pokój dla siebie. Simona zupełnie nie interesowało, gdzie sypia – dom miał mnóstwo pokoi – ale Bree przykładła do tego dużą wagę. Po pierwsze, nie mogła co noc ukrywać się w innej sypialni, by zmylić w ten sposób lunatyka, który i tak miał klucze do wszystkich pomieszczeń, a po drugie, znużyło ją już to ciągle zmienianie łóżek.

Bardzo chciała – wręcz pragnęła – mieć kąt, który mogłaby nazywać swoim. Przytargała z dołu chiński lakierowany parawan i dywan z frędzlami. Rzeczy te tylko chwilowo należały do niej, ale przebywając wśród nich czuła się jak w swoim sanktuarium.

Co wieczór zastawiała w pokoju pułapki. Dzisiaj nie było to chyba konieczne –

Simon od tygodnia nie zabłądził do jej pokoju; było bardzo późno i na pewno chrapał już w najlepsze po wypiciu koniaku. No, ale zastawianie pułapek nie było znowu takie pracochłonne. Najpierw przeciągnęła na poziomie pasa mocną, nylonową żyłkę, następnie wzniosła barykadę z poduszek – Simon nic sobie nie zrobi, jeśli upadnie – i na koniec poprzyczepiała do żyłki stare krowie dzwoneczki. Nikt, nigdy, choćby nie wiem jak się starał, nie zbliży się w nocy do jej łóżka tak, żeby go nie usłyszała, a to ważne. Z dnia na dzień Simon stawał się coraz mniej sztywny, coraz bardziej otwarty. Dzisiaj, podczas tej krótkiej rozmowy na schodach, przekonała się, jaki może być w stosunku do kobiety: przenikliwy, opiekuńczy, gotowy interweniować, w razie gdyby popadła w jakieś tarapaty.

Ujął tym Bree. Nie podobało jej się to uczucie. Jej stosunek do Simona i bez tego był zbyt osobisty, a nie chciała zakochiwać się w mężczyźnie, który potrzebuje jej tylko na jakiś czas. Za niespełna dwa tygodnie przyjedzie po Jess jej matka. Jeśli trzeba pułapek, żeby do tego czasu mogła spać spokojnie, będzie te pułapki zastawiać.

Rzuciła się z zamkniętymi oczami na łóżko i otuliła kocem. Zasnęła szybciej, niż gaśnie wyłączane światło.

Rozdział 7

Krowie dzwoneczki zawiodły.

Istniała oczywiście możliwość, że Bree ich nie usłyszała. Zapadła w tak mocny, tak głęboki sen, że prawdopodobnie nie usłyszałaby nawet orkiestry dętej.

Być może nie zbudziłby jej żaden hałas, dokonał tego jednak dotyk Simona. Tak jak poprzednio, nie uczynił nic, co by ją przeraziło. Podkraśl się cicho jak włamywacz i wślizgnął do jej łóżka w tak naturalny sposób, jak do łóżka kochanki. Otoczył ją ramieniem i położył dłoń tuż pod jej piersią. Czowała, jak ociera się torsem o jej plecy, wpasowując się w nią niczym sąsiedni element układanki. Odgarnął jej włosy z karku zupełnie tak, jakby nic spał, jakby robił to już wcześniej tysiące razy, a potem głowa opadła mu na poduszkę. Leżąc tak blisko siebie nie potrzebowali dwóch poduszek. Czowała zapach jego czystej, ciepłej skóry. Czowała nawet na plecach jego oddech.

Jej ciało zaczynało się budzić do zmysłowego życia. Przekreśliła się w jego objęciach z narastającym uczuciem rozpaczki.

Leżał odkryty. Księżycowa poświata oświetlała krótką, gęstą szczecinę zarostu na jego policzku i kosmyk włosów, który opadł mu na czoło jak chłopcu. Oczy miał zamknięte, oddychał głęboko i miarowo, i Bree doznała nagłego przypiływu wielkiej, niepoohamowanej czułości.

Nie uchroniły jej ani pułapki, ani odwoływanie się do głosu rozsądku. Za późno; była już w nim zakochana. I to nie tylko w Simonie, ale również w Courtlandzie. Nie tylko w swoim namiętym lunatyku, ale i w mężczyźnie, który czekał na nią dziś nad ranem na schodach, w tym samym mężczyźnie, który uważał siebie za uodpornionego na wszelkie emocje, a w istocie był ponadprzeciętnie wrażliwy.

Machinalnie naciągnęła koc na jego nagie ramię. Pogładziła koniuszkami palców jego policzek i odgarnęła delikatnie z czoła ten kosmyk włosów. Babcia opowiadała jej o *feu follet* – złym duszku, który zwodzi swe ofiary na bagnach. Nie znała natury *feu follet* Simona, ale instynktownie wyczuwała człowieka, który zgubił swoją drogę.

Opadła z powrotem na poduszkę i po prostu patrzyła na niego. Nic nie było w stanie złagodzić tych zdecydowanych rysów twarzy, ale sen wygładzał przynajmniej surowe oznaki samokontroli. Simon przykładął do tej samokontroli wielką wagę; nie zauważyła, by choć raz go zawiodła. Tracił ją tylko i wyłącznie w nocy, bo wobec snu nawet on był bezsilny.

Nie chciała go budzić. Jessica nie może zastać go tutaj rano i ktoś musi czuwać nad

jego snem. Ileż to nocy spędził ostatnio wędrując samotnie po pustych pokojach?

Dzisiejszą prześpi w łóżku. Zamierzała czuwać przy nim całą noc, choćby miała się szczypać co dziesięć minut. Tak bardzo potrzebował odpoczynku. Po raz pierwszy widziała go tak młodym, tak spokojnym, tak całkowicie otwartym i niewinnym...

– O, cholera.

Bree podskoczyła jak oparzona. Ten zaspany głos rozlegał się tuż nad nią. Nie był to głos radosny. Właściwie był to wściekły pomruk przepojony przerażeniem.

Przez pełne dwie sekundy leżeli oboje jak sparaliżowani. Nie mogła oderwać wzroku od jego jabłka Adama, które od jej nosa dzieliła odległość niespełna dziesięciu centymetrów. Przygniatała sobą jedną jego rękę. Druga spoczywała swobodnie na jej pupie. Gołej pupie. Nocna koszula podjechała jej aż do pasa, a prawą nogę miała uwięzioną między jego udami. On był w spodenkach. Ona pod koszulą nie miała nic. Poczwała teraz pod udem pulsowanie czegoś ciepłego i twardego, chyba równocześnie to zauważyli.

Poruszyli się w tej samej chwili. Nie chciała go kopnąć, próbowała tylko obciągnąć w dół nocną koszulę. A Simon wcale nie chciał przesunąć ręką po jej piersiach; wszystko przez tę płataninę, jaką tworzyły ich ręce, nogi i skotłowana pościel.

– Jeśli nie uspokoisz się na chwilę i nie dasz mi...

– Leżałam spokojnie, dopóki nie dźgnąłeś mnie łokciem pod żebra...

– Nie chciałem cię dźgnąć. Próbowałem tylko osłonić mojego...

– Wiem, co chciałeś osłonić. Kopnęłam cię niechcący. Próbowałam ci pomóc...

– Lepiej już mi nie pomagaj, dobrze? A przynajmniej nie kolanami. Posłuchaj, jeśli przestaniesz się na chwilę szamotać...

– Nie mogę spokojnie leżeć, kiedy trzymasz rękę na mojej...

– Bree. Czy to się już zdarzało?

W chwili kiedy zadał to pytanie, miała akurat głowę przykrytą kocem. Nie uczyniła nic, żeby ją stamtąd wydostać. Niebo za wychodzącym na północ oknem zaczynało już jaśnieć i mrok zalegający w pokoju powoli się rozrzedzał.

W Południowej Dakocie nie było takich rozległych, cudownych bagien jak w Luizjanie, gdzie kobieta w podobnych sytuacjach mogła się bez problemu utopić.

Tutaj nie było się gdzie skryć. Simon ściągnął jej koc z głowy i spojrzał w oczy. Był tak samo jak ona zarumieniony, włosy miał tak samo potargane i, o ile się nie myliła, staczał walkę z napadem poczucia winy, choć nie z tego samego, co ona powodu.

– He razy napastowałem cię po nocach?

– Wcale mnie nie napastowałaś. To nie było tak. – Prawdopodobnie modlił się o zupełnie inną odpowiedź. Zacisnął powieki, napięły mu się mięśnie policzków. Usiadł nagle, chyba z zamiarem wyskoczenia z łóżka, rozmyślił się jednak i zamiast tego porwał za koc. Może i miał wiktoriańskie zahamowania, ale wątpiła, by wstydził się swej nagości. Chciał tylko osłonić swoje podniecenie. – Simonie, wszystko w porządku...

– Nic nie jest w porządku. Nie wierzę, że ci to robiłem. – Unikając jej wzroku przesunął dłonią po włosach. – To się zaczęło, kiedy miałem czternaście lat. To znaczy, ten idiotyczny lunatyzm. Ale sądziłem, że już mi przeszło. Od dziesięciu lat nie miałem tego problemu. Co, u licha, znaczy to...

Bree uniosła głowę i spojrzała na stosik przy drzwiach. Poukładane jedna na drugiej poduszki, na nich starannie zwinięta żyłka, a na samym wierzchu krowie dzwoneczki. Uśmiechnęła się. Może odrobina humoru zmieni ten mroczny, udręczony wyraz jego oczu.

– We śnie jesteś wielkim pedantem i wydaje mi się, że powinieneś się poważnie zastanowić nad podjęciem dodatkowej pracy w zawodzie złodzieja. Potrafisz przechodzić przez drzwi zamknięte na klucz, nie tylko omijać, ale i rozbijać zastawione pułapki, i okazuje się, że masz psi węch, bo niedawno próbowałam zmieniać co noc pokoje i...

– Musiałem cię porządnie nastraszyć.

– Może troszkę.

– Ale przynajmniej nigdy dotąd nie wlażłem ci do łóżka...

– Oczywiście, że nie – zełgała szybko.

Za szybko. Balansując na łokciu pochylił się ku niej, ujął pod brodę i zmusił, by spojrzała na niego. Wszystkie nerwy skupiły się jej w żołądku. To wcale nie było to samo, co przebywanie w łóżku z lunatycznym alter ego Simona. We śnie był zawsze miły. Łagodny. Stosunkowo posłuszny i cudownie uległy.

Teraz odnosiła wrażenie, że ma do czynienia z rozjuszonym lwem. Z jego oczu wyzierała czujność myśliwego. A upatrzoną ofiarą była prawda. Zamierzał ją z niej wydobyć.

– Czy posuwałem się dalej poza samo włożenie ci do łóżka?

– Słowo daję, że...

– Reynaud. – Zrozumiała, że żąda od niej jednoznacznej odpowiedzi, ale przez chwilę nie potrafiła zebrać myśli. Gładził delikatnie kciukiem jej podbródek – prawdopodobnie nie zdając sobie z tego sprawy. Bree w tej chwili uświadomiła sobie, że on jej pragnie. Prawdziwy Simon, nie tamten nocny zalotnik. Stanowczemu,

chłodnemu Courtlandowi, który nie tracił czasu na okazywanie uczuć, w tej chwili bardzo drżała ręka, a oczy tak pociemniały, że i ją przeszedł dreszcz.

– Do niczego między nami nie doszło – zapewniła go– Tyle sam wiem. – Głos miał szorstki i niski. – Nie mogliśmy się kochać. Gdyby to się stało, wiedziałbym o tym, Bree, wierz mi. Ja chcę wiedzieć, czy zrobiłem coś, co by cię wprawiło w zakłopotanie albo obraziło.

– Nie.

– Kłamiąc nie patrz rozmówcy w oczy, kochanie. I tak nie potrafisz łąć, a to jeszcze pogarsza sprawę. A sposób, w jaki na mnie patrzysz... – westchnął głęboko i wysyczał pod nosem jakieś przekleństwo. Przez jego twarz przewinęła się cała gama uczuć. Jednym z nich było rozbawienie. – Czuję się tak, jakbym zgubił prezent, który dostałem na urodziny. Chodziłem podczas snu, kiedy byłem dzieckiem, ale wierz mi, nikt nie potrafił stwierdzić, skąd mi się to wzięło. Nie rozumiem, dlaczego nie postąpiłaś w jedyny rozsądny sposób. Dlaczego mną nie potrząsnęłaś, nie dałaś mi po gębie, nie zrobiłaś czegokolwiek, byle mnie tylko obudzić...

– Ja... ja się bałam – przyznała.

Spowaźniał i zmarszczył brwi.

– Myślałaś, że wyrządę ci krzywdę? Że wykorzystam sytuację?

– Nie – uspokoiła go i zamknęła oczy. Pełna prawda kryła się głębiej. Znała teraz Simona. Nigdy by jej nie skrzywdził. Nie bała się jego, a siebie samej. Mężczyzna, który przychodził do niej w nocy, nigdy nie próbował wykorzystać jej bezbronności. A mógłby. Oddałaby się mu, gdyby nalegał. Istniała straszna możliwość, że dla ciemnych, zagubionych oczu Simona zrobiłaby wszystko. Ale teraz sytuacja była bardziej skomplikowana. Musiała pamiętać, że pożądanie to – jeszcze nie miłość. Musiała pamiętać, że Simon nawet nie wierzy w miłość.

– Bree...

– Powiedziałeś, że to się zaczęło, kiedy miałaś czternaście lat – spytała szybko.

– Jak to było?

Jego nastrój zmienił się gwałtownie. Zamrugał powiekami i opadł na poduszkę.

– Umarł wtedy mój ojciec.

– O, Boże, przepraszam.

Zdawał się błędzić myślami gdzie indziej.

– Był dobrym człowiekiem. O wiele lepszym, niż ja będę kiedykolwiek. – Do pokoju wsączała się powoli jasność świtu i w pewnej chwili promień słońca padł na jego włosy. Włączył się piec ogrzewczy w piwnicy i szcęknał kaloryfer mącąc

ciszę, jaka zaległa w pokoju. – Byłem najstarszy. Czwórka młodszego rodzeństwa i matka. Do dzisiaj to pamiętam. Pogrzeb. Wszyscy leją łzy – tylko nie ja. Ja nie płakałem. Łamałem sobie głowę, jak, u diabła, ich wszystkich wykarmię. – Spojrzał jej nagle w oczy. Wyzywająco, twardo. – Czy coś ci to mówi o moim charakterze?

– Tak – wyszeptała.

– Już w wieku czternastu lat byłem zimnokrwistym sukinsynem.

Mówił to tak, jakby zależało mu, żeby to do niej dotarło, ale nie słyszała go. Pragnęła go do bólu.

– Kochałem ojca, Reynaud, ale on zostawił sześć osób bez złamanego centa na kubek mleka. Myślisz, że mógłbym po nim rozpaczać?

– Myślę – powiedziała cicho – że nigdy nie dałeś sobie szansy, by po nim rozpaczać. – Widziała jednak, że jej nie słucha. Zachowywał się tak, jakby za wszelką cenę pragnął uzmysłwić jej wady swojego charakteru. Później zrozumiała, że próbował ją w ten – sposób uspokoić, dać do zrozumienia, że nic jej z jego strony nie zagraża.

– Wszyscy uważają mnie za sukinsyna. I mają rację. Liz powiedziała mi kiedyś, że jestem za twardy, by żywić jakiegokolwiek uczucia. Ona też miała rację.

Nie jestem sympatycznym człowiekiem, Bree, i cokolwiek się wydarzyło podczas moich nocnych spacerów, zapomnij o tym.

Zrozumiała. Nawet gdyby jakimś przewrotnym zrządzeniem losu był wtedy miły, łagodny, albo, Boże uchowaj, namiętny, miała się nie obawiać, że za dnia będzie folgował tak karygodnym cechom charakteru.

Zdała sobie nagle sprawę, że najchętniej rzuciłaby się na niego i obsypała pocałunkami.

Może i dobrze, że nie uległa temu niebezpiecznemu impulsowi. Simon zerknął na zegarek i natychmiast spuścił nogi z łóżka. Była dopiero szósta, ale oboje wiedzieli, że Jessica może się w każdej chwili obudzić. Bree zdawała sobie sprawę, że Simon musi wyjść, nie mogła się jednak powstrzymać od zadania mu jeszcze kilku pytań.

– Powiedziałeś, że zacząłeś chodzić we śnie, kiedy miałeś czternaście lat. Twoja rodzina pewnie o tym wiedziała...

– Oczywiście, że wiedziała. Raz nawet znaleźli mnie maszerującego o trzeciej nad ranem środkiem drogi. Nie mogli sobie ze mną poradzić. W końcu zaprowadzili mnie do lekarza.

– No i?

Rozejrzał się po pokoju, jakby szukał jakiegoś okrycia. Nie znalazł nic takiego,

wstał jednak.

– No i poddano mnie wszechstronnym badaniom.

Wykazały, że jestem zdrow jak ryba, a więc pudło.

Potem próbowali mnie posyłać do faceta, który chciał ze mną rozmawiać o nie spełnionych marzeniach. Znowu pudło. Nie miałem żadnych nie spełnionych marzeń. W końcu umieszczono mnie w tak zwanej klinice snu.

– Tam też niczego nie stwierdzili? – Bree sunęła wzrokiem po idealnie prostej linii jego kręgosłupa myśląc, że nie spotkała jeszcze mężczyzny, który miałby tyle nie spełnionych marzeń. Nie dawał im najmniejszych szans. A raczej nie potrafił im ich dać.

– Owszem, stwierdzili – poprawił ją sucho Simon. – Wygląda na to, że mnóstwo lunatyków doświadcza tego małego, elektrycznego przebiccia, które zachodzi w ich mózgu. To nic groźnego. Nie kwalifikują tego jako chorobę. To po prostu charakterystyczna cecha, która u jednych jest bardziej rozwinięta, a u innych mniej.

– A więc ci nie pomogli?

Simon zmierzał już spieszenie ku drzwiom.

– Pomogli, a jakże. Poradzili mi, żebym się przywiązywał na noc do łóżka. Zdało to egzamin wtedy, zda i teraz. – Otworzył drzwi i obejrzał się, żeby popatrzeć na nią ostatni raz. Przesunął wzrokiem po jej potarganych włosach, po nagiej szyi, po ustach. Cokolwiek wyrażało to spojrzenie – tęsknotę? pożądanie? – była przekonana, że wypierałby się tego w żywe oczy.

– A gdyby sznurek nie pomógł, wymyślę coś innego. Jedno jest pewne, Bree, podobny incydent już się nie powtórzy. Oddam ci klucze od wszystkich pokojów. Nie twierdzę, że dziadek Fee był dziwakiem, ale z jakiegoś idiotycznego powodu są tych kluczy dziesiątki, a wszystkie działają jak wytrychy. Po co zamykać drzwi, skoro pasuje do nich każdy klucz?

– Ale jeśli znajdziesz się w posiadaniu wszystkich, nie będziesz się musiała obawiać moich odwiedzin.

Kiedy wyszedł, Bree usiadła na łóżku i zamyśliła się ssąc paznokieć. Wyobraziła sobie Simona przywiązanego się do łóżka i zrobiło jej się słabo. Myślała o chłopcu, który musiał zbyt szybko dorosnąć, który ani na moment nie mógł uwolnić się od uzależnionych od niego ludzi, nawet wtedy, kiedy był już żonaty. Myślała o nie spełnionych marzeniach. Myślała o tym, jak skrupulatnie Simon starał się wybić jej z głowy, że mu na niej zależy. Myślała o wyrazie jego oczu, kiedy na nią patrzył.

I myślała o jego wspaniałym torsie.

A potem przestała ssać paznokcie i wstała z łóżka.

– Co to jest, Bree?

– *Couche-couche*. – Bree nalała małej szklankę mleka, ale nie odrywała oczu od Simona. Wszedł do kuchni – świeżo wykąpany, świeżo ogolony, świeżo uczesany – i ukrył się natychmiast z kubkiem kawy za rozpostartą płachtą *Wall Street Journal*. Chciał chyba uniknąć dalszej konwersacji, ale kiedy odwróciła się od pieca, przy jej kawie leżał ogromny pęk kluczy. Proponowano jej stanowisko klucznicy tego zamku.

– Tamto było dwa dni temu. To jest inne.

– Dwa dni temu było *cush-cush, chere*. A to nazywa się *couche-couche*. To taka kaszka.

Jessica powąchała łyżeczkę, jakby obawiała się trucizny. Potem, uspokojona, włożyła ją do buzi.

– Co będziemy dzisiaj robiły?

– Zabierzemy tatusia na wycieczkę. – Bree usłyszała niespokojny szelest gazety. Udała, że całkowicie pochłania ją wycieranie blatu szafki przy zlewie. – Powspinały się na wzgórze, może uda nam się – przywołać parę piesków preriowych, a potem urządzimy sobie piknik w pobliżu twojej sekretnej kryjówki.

– Fajnie!

– A mnie to wygląda... – Simon rzucił zirytowane spojrzenie zza swego muru obronnego – na typowy zwariowany wypad w teren w stylu Reynaud. We dwójkę. Nie w trójkę.

– Gadaj zdrów – mruknęła Bree i niemal przeproszającym tonem dorzuciła głośniej: – Jedziesz z nami, Simonie.

– Jak dobrze wiesz... – Musiał opuścić gazetę, bo Jessica prześlizgnęła się pod nią i wspięła mu na kolana. W jednej ręczce trzymała miseczkę z *couche-couche* i łyżeczkę, a w drugiej niebezpiecznie rozkołysaną szklankę soku pomarańczowego. – Nie mam czasu. Spodziewam się kilku telefonów z Bostonu. Nie skończyłem jeszcze z kolekcją dziadka Fee. Malarze mają dziś zacząć na górze...

– Wiem, że to nie mieści ci się w głowie – powiedziała współczująco Bree – ale wszyscy oni będą sobie musieli poradzić bez ciebie. Jedziesz z nami.

– To niemożliwe. – Simon wycedził te słowa powoli, jak gdyby miał nadzieję, że w ten sposób dotrą do ociężałych komórek jej mózgu. – Jesteś tu już na tyle długo, żeby się zorientować, ile ciąży na mnie obowiązków...

– Tak, zauważyłam. I o to właśnie chodzi. Jedziesz, Simonie.

Co ja tu robię? zadawał sobie pytanie Simon. Mnie tu nie powinno być.

Zachował się jak na dobrego ojca przystało. Podwiózł je do Sage Creek Basin; pokonał pieszo kawał drogi od szosy niosąc trzy pary lornetek i lalkę; siedział cierpliwie, dopóki nie napatrzyły się do syta na pieski periowe. Nawiasem mówiąc, sprytne są te małe bestyjki – niecałe trzydzieści centymetrów wysokości, jasnobrązowe i ruchliwe jak żywe srebro.

Bree je uwielbiała. Jessica nie posiadała się z zachwytu i nawet Simon musiał przyznać, że wycieczka jest udana. Ale wszystko miało swoje granice.

Czekały na niego setki spraw. *Zbliża*, się termin ukończenia bostońskiego kontraktu. Ktoś z rodziny może zadzwonić w jakiejś ważnej sprawie, a jego nie ma w domu. Jeśli nie dopilnuje malarzy, gotowi mu wypacykować główną sypialnię na różowo. A jeśli nie uwinie się szybko z katalogowaniem kolekcji dziadka Fee, to ugrzęźnie na zawsze na tym odludziu w archaicznym, niemożliwym do sprzedania domu ze szczękającymi kaloryferami.

A on, zamiast być tam, gdzie powinien – gdzie musi – leży sobie na brzuchu na wysuszonej ziemi, wygrzewa się na słończku, a po plecach skacze mu dwudziestokilogramowy, rozbrykany, czteroletni brzdąc.

Bree patrzyła przez lornetkę. Jessica zerknęła przez swoją i obie wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Zbliżają się – powiedziała ponuro Jess.
- Nic się nie bój. Jestem gotowa.
- Na pewno masz dosyć amunicji?
- Całe mnóstwo. Ty osłaniaj swojego tatusia.
- Schyl głowę, tatusiu.

W zasięgu wzroku nic nie było. Kiedy wrócili z Sage Creek, Simon myślał, że wolno mu już wziąć się do pracy. Był jednak w wielkim błędzie. Uparły się, że musi zobaczyć kryjówkę Jessiki. Ta osławiona kryjówka znajdowała się kilometr od domu i była niewielkim pagórkiem wznoszącym się pośrodku równiny. Chwytając kępki trawy, wspięli się po stromym zboczu. Szczyt był płaski jak deska i Simon myślał, że roztacza się stamtąd jakiś ładny widok. Zobaczył tylko popękane koryto wyschniętego strumienia.

Bree, jak to Bree, powiedziała Jessice, że pełno tam złota.

I Bree, jak to Bree, wstała teraz, udała, że s pluwa w dłonie i podniosła do ramienia wyimaginowaną strzelbę. Przesunęła kciukiem dźwigenkę wyimaginowanego bezpiecznika i przymrużyła jedno oko celując.

- O, rany. Jest ich ze dwunastu. Spójrz na ten tuman kurzu za ich końmi. Na

miłość boską, osłaniaj tatusia, Jess.

– Osłaniam go.

– Galopują na nas tyralierą. Są tam wszyscy. Jesse James. Billy Kid. Stary Clanton. Doktor Holiday... – Palec Bree pociągał raz po raz za spust strzelby. Jess imitowała huk wystrzałów.

Simon ukrył twarz w dłoniach usiłując powstrzymać się od śmiechu.

W końcu Jessica rozsunęła mu siłą, jeden po drugim, palce.

– Już po wszystkim, tatusiu. Nie bój się. Jesteśmy bezpieczni. Już ich nie ma.

– Rozumiem. Wszyscy... zabici?

– Nikt nie jest zabity, tatusiu. Bree i ja prędzej byśmy umarli, niż kogoś zabiły. Chciałyśmy ich tylko odstraszyć. Chcieli zabrać złoto z naszego strumienia – wyjaśniała Jessica. – Przyniosę ci go trochę. Wtedy sam zobaczysz.

Dziewczynka zjechała na tyłeczku po śliskim zboczku. Bree przedzierzgnęła się z powrotem w dorosłą osobę szybciej, niż jej palec naciskał przed chwilą wymagany spust – ta transformacja zawsze go rozbierała. Pozbierała w okamgnieniu resztki lunchu do koszyka i wyciągnęła się na brzuchu obok niego.

– Jak ty to robisz? – mruknął. – Skąd ci się biorą te pomysły?

– Myślisz, że to chora wyobraźnia?

– Nazwałbym to raczej specjalnym podejściem do dzieci.

Nie zrozumiała komplementu.

– Obawiam się, że znalezienie tej próbki złota zajmie jej trochę czasu – zauważyła rzeczowo.

– Trochę czasu? Sądząc z wyglądu tego koryta, będziemy tu czekać do nadejścia następnej epoki lodowcowej.

Zachichotała.

– Jess odkryła to miejsce podczas jednego z naszych długich spacerów. Pokochała je od pierwszego wejrzenia – Bóg jeden wie, dlaczego. Kazałam jej przysiąc, że nigdy nie wybierze się tu sama, ale trochę się niepokoję. Obietnice twojej córki warte są tyle, co...

– Zeszłoroczny śnieg.

Gawędzili tak przez chwilę, ale była to rozmowa chaotyczna i Simon stracił wkrótce wątek. Bree przekreśliła się na plecy, podłożyła sobie ręce pod głowę i zamknąwszy oczy wystawiła twarz na słońce. Ciężki czarny jak smoła rzęs padał jej na policzki. Kiedy leżała na wznak, nie było jej wcale widać piersi, tylko na szyi skrzył się naszyjnik.

Simon wyteżał umysł, nie potrafił jednak znaleźć rozsądnego wytłumaczenia faktu,

że ta dziewczyna działa na niego, jak żadna inna dotąd.

– Czujesz ten zapach? – mruknęła nie otwierając oczu.

– Jaki zapach?

– Słońca.

Zerwał źdźbło trawy i zaczął je żuć nie siląc się nawet na odpowiedź. Nie czuł żadnego zapachu słońca, tak samo jak wcześniej nie widział żadnego Jesse Jamesa na koniu ani księżnej częstującej herbata.

To była cała Bree. Tak właśnie myślała. Tak się zachowywała.

– Jeśli Jess nie przyniesie zaraz tego złota – mruknęła Bree – to obawiam się, że to słońce mnie uśpi.

– Pewnie ta strzelanina tak cię wyczerpała. – Jej senny, zmysłowy chichot podział na niego niczym romantyczna sonata. – Zdrzemnij się. Będę miał Jess na oku.

Jessica mogła się oddalić na pół kilometra i jeszcze by ją widział, a poza tym, co złego mogłoby się jej tutaj przytrafić? Nie miał nic lepszego do roboty, jak tylko skupić całą uwagę na Bree.

Odchodził od zmysłów usiłując sobie wyobrazić, co działo się podczas jego nocnych spacerów. Chciałby to wiedzieć z najdrobniejszymi szczegółami. Chciał wiedzieć, czy ją całował... jak smakowała, jak reagowała. Chciał wiedzieć, czy pieścił te małe, białe wżgórki piersi. Chciał wiedzieć, czy sprawiało jej to przyjemność. Chciał wiedzieć, czy była naga.

Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że wcale nie chce tego wiedzieć. Gdyby okazało się, że leżał w łóżku z nagą Bree i teraz tego nie pamięta, zażyłby truciznę.

Przegryzł źdźbło trawy na dwie równe połówki i przymknął powieki. Daj spokój, Courtland. Ile jeszcze razy zamierzasz do tego wracać? zadał sobie pytanie.

Bliższy związek z Bree nie wchodził w rachubę. Zdawał sobie z tego sprawę. Nie potrafił się już otworzyć, nie miał pojęcia, jak zdobyć kobietę nie mając jej do zaoferowania nic poza pieniędzmi. A Bree pieniądze zupełnie nie interesowały.

Pragnęła go. Cieleśnie. Musiałby być chyba ślepy i głuchy, żeby nie odebrać tych subtelnych kobiecych sygnałów, jakie podświadomie wysyłała. Ale mało prawdopodobne, by na dłuższą metę zaakceptowała takiego zatwardziałego, zdeklarowanego pracoholika jak on. A w krótszej perspektywie... no cóż, wiedział przecież, jaki jest w łóżku. Ostrożny, rozważny, skupiony. Niektórym kobietom to odpowiadało, ale Simon nie miał większych wątpliwości, że tej cygance potrzebny jest szalony kochanek. Utrzymać przy sobie mógł ją tylko mężczyzna namiętny i spontaniczny.

On taki nie był.

Poruszyła się przez sen. Lekki podmuch wiatru zwał jej na policzek niesfome pasemko włosów. Pochylił się nad nią machinalnie i odgarnął je. Musnął przy tym koniuszkami palców jej skórę i poczuł, jak tężeje mu boleśnie każdy mięsień.

Była tak piękna, tak pełna radości życia. Zapraǳnął dać jej jakoś do zrozumienia, ile zaczęła dla niego znaczyć. Nie dlatego, że czegoś od niej chciał ani że żywił jakieś nierealne nadzieje na przyszłość. Ale kiedy był z nią, czuł się bardziej otwarty, bardziej beztroski. Kiedy był z nią, przypominały mu się marzenia, do których kiedyś nie przywiązywał wagi. Kiedy był z nią, odnosił nawet to dziwne wrażenie, że czuje zapach słońca.

Uchyliła powieki. Zrobiła to powoli, ale i tak nie zdążył oderwać dłoni od jej policzka. Spojrzały na niego niebieskie oczy, niebezpieczne i wabiące jak miłość.

Spłoszony, cofnął gwałtownie rękę.

– Pszczoła się tu kręciła – wybąkał niepewnie.

– Myślałem, że chce cię użądlić.

Rozejrzała się. Gdziekolwiek spojrzeć, aż po horyzont, rozciągała się równina, a na niej nie dostrzegła ani jednego kwiatka.

– No popatrz tylko – wymruczała – pszczoła tutaj.

Miał ogromną ochotę scałować ten zmysłowy uśmieszek z jej ust, ale zabrakło mu odwagi. A zresztą stokiem wzgórza gramoliła się już Jessica z garstkami pełnymi złota.

Rozdział 8

– Ostrzegam cię, Reynaud, że to bardzo ryzykowne otwarcie.

– Wiem, Simonie.

– Wykazujesz cudowny instynkt w tej grze, ale niczego nie planujesz. Gdybyś sobie wcześniej wszystko przemyślała, rozważyła taktykę gry na kilka posunięć naprzód...

– Wiem, Simonie. – Bree pociągnęła ostatni paznokiec „Płomiennym Szkarłatem” i wsunęła pędzelek z powrotem do buteleczki z lakierem. Lakier zdąży wyschnąć, zanim Simon wykona swój ruch.

Była dziesiąta wieczorem i w całym domu, nie licząc ich prywatnego kącika w salonie, panowały egipskie ciemności. Rozstawiła zabytkową, marmurową szachownicę na stoliczku przy kominku. Na palenisku posykiwały i skwierczały żółte płomienie, a jedyne źródło sztucznego światła stanowiła lampa z kulistym abażurem, stojąca obok przepastnego fotela, w którym rozsiadł się Simon.

Ściany były teraz świeżo pomalowane farbą o barwie kości słoniowej, a po brudzie i bałaganie nie pozostał żaden ślad. Aksamitne kotary od sufitu do podłogi, połyskujący fortepian w rogu, gruby, różowo-żółty, orientalny dywan, wszystko to stwarzało w salonie przytulną, staroświecko-romantyczną atmosferę. Bree dobrze wiedziała, że Simon, choć za nic by się do tego nie przyznał, też ma w tym swój udział.

Rozpałił w kominku, żeby sprawdzić ciąg w kominie, pogasił górne światła, żeby oszczędzić na rachunku za energię elektryczną, a teraz starał się jak mógł, żeby dać jej mata.

Siedział pochylony nad szachownicą, a na twarz padał mu odbłask ze stojącej lampy. Z jego zdecydowanych rysów i głęboko osadzonych oczu wyzierało to samo głębokie skupienie, jakie uwieczniono w rzeźbionym marmurowym obliczu szachowego króla. Teraz przesunął ostrożnie pionek.

Bree odpowiedziała bez namysłu ruchem gońca po przekątnej, co Simon skwitował pełnym politowania spojrzeniem, po czym przystąpił do metodycznego podwijania rękawów koszuli.

– Lepiej łyknij sobie sherry – poradził. – Będzie bolało.

– To się okaże. – Bree zachichotała. Mogłaby go bez trudu pokonać. Simon był dziesięć razy lepszym graczem, ale tracił głowę, kiedy zaskakiwała go spontanicznymi, brawurowymi posunięciami. Upatrywał w nich zawsze jakiejś strategii, która wymaga głębokiej analizy i podjęcia określonych kroków defensywnych. Bree zaś nie kierowała

się żadną strategią. Grała tak, jak jej dyktowała intuicja, ale dzisiaj była jakaś rozkojarzona, zamyślona i niespokojna.

Tego popołudnia przyjemnie spędzili czas, ale w drodze powrotnej do domu Simon znowu zamknął się w sobie. Bree wiedziała dlaczego. Na tamtym trawiastym wzgórku omal jej nie pocałował. Pochylił się nad nią, położył ciepłą od słońca dłoń na jej policzku, oczy mu pociemniały, tak jak teraz... i w tym momencie zza krawędzi wygramoliła się Jessica. Simon zamknął się w sobie szczelnie i taki już pozostał.

Z pocałunkiem, do którego nie dochodzi, jest podobnie, jak z przegranymi jednym głosem wyborami, powtarzała sobie. Nie ma sensu roztrząsać tego, czego nie było. Tak, tylko że pocałować zamierzał ją Simon, nie lunatyk, i powietrze na tamtym pagórku zdało się wtedy iskrzyć elektrycznością. Jak na mężczyznę przekonanego, że obce mu są wszelkie namiętności, Simon promieniował iście atomową energią. Ciekawa była, jak mógłby wyglądać ten pocałunek. Ciekawa była, co w tym momencie czuł Simon...

Łyknij sherry, Reynaud, i daj już temu spokój, upomniała się w duchu.

– No i dodzwoniłaś się wreszcie do rodziców?

O, właśnie. Oto stosunkowo bezpieczny temat do rozmowy.

– Mamy nie było. Widocznie wybrali się gdzieś z ojcem na kolację. Ale złapałam Stephana, mojego najstarszego brata. – Za wiedzą Simona telefonowała do rodziny dwa razy w tygodniu. Martwiliby się o nią, gdyby nie dawała znaku życia. – Wszyscy czują się świetnie.

– Nie każą ci wracać do domu?

– Wszystkie rodziny przejawiają odruch zaganiania do stada zbłąkanych owieczek – odparła zgryźliwie.

– I wrócisz do domu, kiedy stąd odjedziesz?

Zadał to pytanie obojętnym tonem – wzrok miał utkwiony w szachownicy – ale Bree poczuła skurcz w żołądku. Za kilka dni zakończy się remont. Wkrótce potem Liz zabierze stąd Jessicę. A wtedy ona nie będzie już miała pretekstu do przedłużania swego pobytu w Południowej Dakocie... ani przebywania w pobliżu Simona.

– Nie uważasz – upomniał ją. – Ten ruch wieżą był zupełnie bezmyślny, słoneczko. W ten sposób zostawiasz królową bez żadnej opieki.

– Zapominasz, że królowa to najsilniejsza figura na całej szachownicy. Sama się może o siebie zatroszczyć.

– Tak sądzisz? – Wykonał ruch skoczkiem, po czym pochylił się, by dolać jej sherry z karafki. – Masz nawyk wystawiania swojej królowej na niepotrzebne

niebezpieczeństwo – wytknął jej.

– W moim pojęciu taka jest jej rola w tej grze. Stawiać czoło niebezpieczeństwu. W szachach najbardziej bezradną figurą jest król, a najpotężniejszą królowa. Jej zadaniem jest wykorzystywać tę siłę w jego obronie.

– Teoretycznie masz rację. W praktyce królowa musi się dobrze zastanowić, zanim podejmie jakieś ryzyko, bo jeśli król straci swoją królową, z reguły ponosi klęskę. Królowa musi się bardzo pilnować. Musi być ostrożna. Musi o siebie dbać.

– Simon wypił łyk koniaku. – Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– Jakie pytanie? – Dlaczego odniosła nagle mgliste wrażenie, że mówiąc o królowych i królach Simon wcale nie ma na myśli szachowych figur?

– Pytałem, czy wrócisz do domu, na łono rodziny.

Pokręciła głową.

– Tęsknię za nimi, kocham ich wszystkich, ale moim domem nie jest już południowa Luizjana.

– Znużyły cię już te podróże, Bree – powiedział cicho.

W palenisku obsunęło się polano i w górę strzeliło mrowie iskier. Zamilkła, ale nie na długo. To stwierdzenie było zaproszeniem do rozmowy – nie jakiejś tam bezmyślnej wymiany zdawkowych uwag, tylko prawdziwej rozmowy. Nie po raz pierwszy Simon wyrażał chęć wysłuchania jej, ale dopiero teraz Bree odniosła wrażenie, że może to być rozmowa z prawdziwego zdarzenia, z udziałem obojga. Jeśli tylko ona odważy się zaryzykować.

Podwinęła pod siebie nogi i pochyliła się nad szachownicą.

– Miałam trzech – mruknęła obojętnie.

– Co za trzech?

– Trzech kochanków. Choć nie jestem pewna, czy dwóch pierwszych zasługiwało na to miano. Najpierw był ten rudy, kiedy miałam szesnaście lat – jednorazowa przygoda, do której doszło z czystej głupoty. Pochodził z plebsu i było mi go żal. Jakies cztery lata później był student wstępnego kursu medycyny. Pan Medyk wniósł trochę więzi uczuciowej, ale z nim też doszło do tego tylko raz. Potrzebował kogoś. Myślałam, że mnie.

Nigdy nie mówiła lżejszym tonem i ani na chwilę nie odrywała wzroku od szachownicy.

– Mniej więcej dwa lata potem zakochałam się w koledze z firmy, w której pracowałam i muszę przyznać, że nie na żarty. Myślałam już, że skończy się to ślubem, domem i dziećmi. Matthew widywał się od czasu do czasu ze swoją byłą żoną. Uważałam to za normalne. Pewnego pięknego dnia oznajmił, że wkrótce zostanie

ojcem. Pracowity był z niego gość, bo zrobił jej dziecko w tym samym czasie, kiedy...

Simon wycedził brzydkie słowo.

– Kochanie, nie prosiłem cię przecież...

– Graj w szachy, Courtland. – Nadal nie podnosiła wzroku, wołała nie oglądać wyrazu jego twarzy.

– Wiem, że mnie nie prosiłeś. Mówię to z własnej, nieprzymuszonej woli. Masz rację, dosyć mam tego włóczenia się po świecie. I jak już się domyśliłeś, żądza przygód nie była jedynym powodem, dla którego wyruszyłam w trasę. Nie chodziło też o mężczyznę. Chodziło o mnie. Każdy ma prawo palnąć jakieś głupstwo, ale powinno to być dla niego nauką na przyszłość. Ja popełniałam te same błędy całymi seriami. Postanowiłam przerwać tę złą passę.

– Bree...

Nie widziała jeszcze, żeby Simon zagapił się podczas gry. Mógł zabić jej królową.

– Chyba miałam nadzieję, że jeśli wypowiadam ci się z mojej przeszłości, ty również poczujesz potrzebę wywnętrzenia się.

– Wywnętrzenia?

– Nie wydaje mi się, żebyś z kimkolwiek rozmawiał o swoich problemach – powiedziała cicho Bree. – Za to wszyscy wokół zasypują cię swoimi. Słuchasz, załatwiasz, pomagasz, ale nie rozmawiasz, Courtland. Kiedy w ogóle miałeś okazję wygadać się, zrzucić to, co ci leży na sercu? Na przykład zwierzyć się komuś, co czułeś do ojca, albo jak przeżyłeś rozwód, albo czego pragniesz, o czym marzysz i czego się obawiasz? Nic dziwnego, że chodzisz podczas snu...

– Reynaud.

– Co?

– Zabiłaś mi skoczka.

– Owszem.

– Zabiłaś mi skoczka!

– Wiem. Szach królowi. Mam nadzieję, że jeśli się dobrze przyjrzyysz, przekonasz się, że zapędziłam go do narożnika – mruknęła Bree.

Ale była to nadzieja płonna. Pocałował ją, co prawda, nad szachownicą – jak brat całujący siostrę – ale na tym zakończył się ten wieczór. Owszem, zaszachowała białego króla, ale z człowiekiem z krwi i kości sprawa była o wiele trudniejsza. Simon wznosił toast koniakiem, ale konwersada się urwała. Piętnaście minut później figury szachowe znalazły się z powrotem w swoim pudle i Simon, życząc jej dobrej nocy, zniknął na górze.

Pewnie nie mógł się doczekać, kiedy się wreszcie uwolni od tej wścibskiej,

namolnej cyganki, pomyślała markotnie Bree.

Ponieważ szans na zaśnięcie nie miała żadnych, nalała sobie jeszcze jeden kieliszek sherry i wzięła książkę z pokoiku przy gabinecie. Wracając do salonu wmawiała sobie, że nagłe wycofanie się Simona jest dobrym rozwiązaniem. Gdyby się przed nią otworzył, wdał w szczerą rozmowę, jej uczucia względem niego jeszcze by się pogłębiły.

Ilekczoć był blisko, czuła, że mocniej bije jej serce. Częściowo sprawiało to zwyczajne, zdrowe pożądanie – normalna reakcja na kochanego mężczyznę – ale w reakcji tej było też coś ściskającego w dołku i przyprawiającego o dreszcz. Bała się. Mężczyzna z krwi i kości wzbudzał w niej zupełnie inne uczucia, niż tamten nocny zalotnik, był bardziej pociągający, bardziej fascynujący i o wiele bardziej niebezpieczny.

Przykucnąwszy przed kominkiem rzuciła w ogień jeszcze jedną szczapę i wpatrywała się przez chwilę jak zahipnotyzowana w płomienie liżące nową ofiarę. Tak właśnie czuła się w swoich poprzednich związkach – jak ofiara. Jakiś mężczyzna potrzebował jej, ona ufnie otwierała przed nim serce, a on brał, co chciał, i tyle go widziała.

Bała się panicznie powtórki tego schematu, a zaczęło się przecież podobnie. Simon kogoś potrzebował. Widząc to, została i dzień po dniu obserwowała postępującą metamorfozę mężczyzny otwierającego się, zmieniającego, zaczynającego interesować się sprawami, które dotąd mało go obchodziły. I zakochała się, wypisz wymaluj ten sam cholerny stary schemat – chociaż tym razem dochodził nowy element. Zakochała się już kiedyś, ale nie tak. Nie tak mocno, nie tak głęboko, nie w takim mężczyźnie A więc stawka aż tak wzrosła, Reynaud?

Aż tak.

Wspomniał o twoim wyjeździe. Czy tak zachowałby się mężczyzna, który pragnie z tobą być?

Nie.

Nie rób tego. Nie angażuj się bardziej. Tu już nie chodzi o palnięcie głupstwa: stawką jest całe twoje życie. Zmądrzej, ochłoń, nie daj się.

Odwróciła się od kominka i wyciągnęła z książką i kieliszkiem sherry na dywanie. Otworzyła książkę na stronie tytułowej i dopiero teraz stwierdziła, że wybrała sobie z biblioteki dziadka Fee obszerną rozprawę o geologii Badlands.

Jeśli to jej nie uśpi, to nie ma już żadnej nadziei.

Mijały minuty. Uzbierało się z nich najpierw pół godziny, później godzina. W korytarzu tykał dostojnie stary zegar. Pogłębiły się cienie. Od czasu do czasu

zajmowało się żywym płomieniem jakiegoś polano w kominku i mieniła czerwienią rozgrzana warstwa popiołu na dnie paleniska. Wbrew jej oczekiwaniom, książka wcale nie była nudna, ani razu nie musiała się zmuszać do koncentracji.

Przewróciła kolejną stronę, sięgnęła po kieliszek sherry i po kręgosłupie spłynął jej ostrzegawczy dreszcz. Obejrzała się szybko i zamarła. Proszę, nie, Simonie, pomyślała. Nie rób mi tego dzisiaj. Dzisiaj się z tym nie uporam. Nie rób mi tego...

Ale Simon zbliżał się już do niej. Nie ten zapięty pod szyję Simon, z którym grała niedawno w szachy, ale jej półnagi, ciemnooki, ponętny nocny zalotnik.

– Wracaj do łóżka, Simonie – wykrztusiła z rozpaczą Bree.

Nie posłuchał. Stał nad nią. Książka zsunęła się jej z kolan, kiedy wstawiała z dywanu. Blask płomienia zatańczył na jej włosach, rozświetlił je. Miała na sobie tę samą koszulkę z krótkimi rękawami i białe dzinsy, w których grała z nim w szachy. A jej oczy były ciemne jak wilgotne węgielki.

Stała tak przez chwilę jak zahipnotyzowana, potem trochę się otrząsnęła. Zrobiła krok w jego kierunku wyciągając przed siebie rękę.

– Simonie, chodzisz we śnie. Wszystko będzie dobrze. Odprowadzę cię do łóżka...

A więc to tak do mnie przemawiała, pomyślał. Uspokajająco, łagodnie, z uczuciem. Otoczyła go ramieniem w pasie, najwyraźniej z zamiarem poprowadzenia ku schodom.

Zaskoczył ją zupełnie ujmując jej twarz w dłonie i całując. Jej usta miały smak sherry, ale pod tym smakiem kryło się coś słodsze, głębsze, prawdziwa Bree. Między innymi właśnie to doprowadzało go do szaleństwa – czy mógłby zapomnieć, że ją całował, czy mógłby zapomnieć, jak smakowała?

Nie pamiętał nic, ale myśl o jej oczach nie dawała mu zasnąć. Nie dawała mu zasnąć myśl o kobiecie, która dawała, dawała, dawała. Myśl o tych trzech łobuzach, którzy ją wykorzystali.

Schodząc po schodach nie miał właściwie zamiaru odgrywać komedii i udawać lunatyka – ten pomysł przyszedł mu do głowy w ostatniej chwili, a podsunęło mu go tchórzostwo. Był nieuczciwy i pozbawiony honoru. Był zły.

Ale innego sposobu chyba nie było. Nie mógł dopuścić do tego, by nadal upatrywała w każdym mężczyźnie drania podobnego tamtym trzem. I nie mógłby też żyć ze świadomością, że nie odwdzieczył się jej za to wszystko, co dla niego zrobiła. Pragnął, by poczuła się kochana i pożądana, ale nie umiał tego wyrazić słowami, nie potrafił uzewnętrznić swoich uczuć.

Szukasz usprawiedliwienia, Courtland, pomyślał.

Fakt, szukał go, ale chyba niepotrzebnie. Usta Bree pod naporem jego warg były tak podatne, drżące i delikatne. Znały jego usta. Zacisnęła mocno palce na jego ramieniu, jak gdyby usiłowała nad sobą zapanować, a ostatnią rzeczą, jakiej chciał Simon, to zmuszać ją do czegokolwiek, nawet do pocałunku. I nagle przymknęła powieki, odchyliła głowę, uniosła ręce i oplótła jego szyję.

Zadrżała i Simon uświadomił sobie, że jednak postąpił słusznie. Ze swoim lunatykiem czuła się swobodniej, niż kiedykolwiek będzie się czuła z nim. Potrzebowała nie jego, ale fantazji. Ta myśl go zabolęła. Potrafił zapanować nad swymi popędami – będzie uważał, żeby nie posunąć się za daleko – ale brak mu było zupełnie doświadczenia w zgłębianiu tajników kobiecego serca.

Simon Courtland nie był żadną kobiecą fantazją.

Nie wiedział nawet, jak nią zostać.

Odkrył jednak powoli jedną z tych elementarnych prawd leżących u podstaw miłości. Nie był sam. Bree chciała mu pomóc. Zetknęły się ich języki, suche zrazu, potem coraz cieplejsze, coraz wilgotniejsze.

Kiedy przyciągnął ją do siebie, wydała cichy jęk. A więc, pomyślał, nie za łagodnie. Lubiła trochę przemocy, trochę brutalności.

Na chwilę zawładnął znowu jej ustami, a potem obsypał gradem pocałunków policzki i czoło. Były to pocałunki kochanka agresywnie szukającego jej czułych miejsc. To też jej się spodobało. Wiedział o tym, bo przywarła do niego całym ciałem, jak do ostatniej deski ratunku. Zupełnie, jakby go potrzebowała. Jakby go pragnęła. Nawet... jakby go kochała.

Uniósł głowę ciężko dysząc, świadom pożądania, jakie rozsądza go od wewnątrz. Samokontrola, na którą tak liczył, nie była wcale tak absolutna. Bree też uniosła głowę, ale nie otwierała oczu, a jej głos był ledwie słyszalny.

– Simonie, boję się.

Pocałował ją znowu. Mocno i z pasją. Prędzej by się zastrzelił, niż skrzywdził Bree albo uczynił coś, co by ją przestraszyło. Jak mogła w to wątpić?

– Simonie... ty już to robiłeś. Przychodziłeś do mnie, jakbyś wiedział, czego chcesz, jakbyś wiedział, czego pragnę ja, ale dzisiaj... nie jestem chyba dość silna, żeby ci się opierać, a zresztą nie wiem, czy byś tego chciał...

Przytulił ją mocniej; serce waliło mu tak mocno, że miał trudności z oddychaniem. Wielkimi dłońmi gładził jej szyję, obojczyk, smukłe ramiona. Drżała i chciał ją w ten sposób uspokoić. Bez skutku. Patrzyła teraz na niego wyczekująca, rozdygotana, spięta. W kominku opadło ostatnie polano wzbijając w górę fajerwerk iskier i płomień rzucił ich cień na przeciwległą ścianę... Na sylwetki dwojga

kochanków trwających w miłosnym uścisku pośród ciszy panującej w salonie.

/

Cień poruszył się, kiedy zaczął ściągać z niej powoli koszulkę. Ostrzegął się w duchu, że za szybko przekracza granicę między fantazją a rzeczywistością, ale było już za późno. Jej długie włosy zaiskrzyły się w półmroku, a potem opadły kaskadą na plecy. Uniosła ku niemu twarz. Pod koszulką nie miała nic. Naga skóra od szyi do pasa przypominała karnacją czystą porcelanę, zaróżowioną teraz odblaskiem padającym od ognia i pożądaniem. Pożądanie wyzierało również z jej twarzy... pożądanie, jakiego Simon nie spodziewał się wzniecić kiedykolwiek w żadnej kobiecie.

I nagle jego beztroska, śmiała Bree zawstydzila się. Chciała się zasłonić rękami, ale chwycił ją za przeguby, napatrzył się do syta, a potem powoli uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. Była wspaniała. Była piękna. Pocałował ją tak, żeby jej to przekazać. Pocałował ją tak, jak nie całował jeszcze żadnej innej kobiety, a w swój uścisk włożył całą namiętność, której istnienia nie uświadamiał sobie i która przerażała go swą mocą. Całował ją dopóty, dopóki usta jej nie poczerwieniały i nie zwilgotniały, a oczy nie zaszyły mgłą i nie przybrały barwy czystego błękitu.

– Simonie... nie zdajesz sobie sprawy, co mi robisz. Nie byłeś taki... przedtem. Ja nigdy...

Nie wiedział, co się z nim dzieje. Zaskoczył go ten przejaw męskiej siły, siły kochanka, który kusi i nalega, podnieca i uwodzi. Nie był w tej chwili Simonem. Był ni mniej, ni więcej, tylko mężczyzną. Jej mężczyzną. I kiedy sięgał do suwaka jej dzinsów, z gardła Bree wydobył się znowu ten jęk. Dziki, chrapliwy, kobiecy jęk, zew pożądania. Ich oczy się spotkały.

Pragnęła go. Pragnęła.

Rozpiął zamek. Kiedy wsuwał dłonie w dzinsy, by je z niej ściągnąć, przywarła do niego ślepo, ulegle.

Objęła go za szyję, by przyciągnąć do siebie jego usta, ale nie poczuł jej palców na potylicy; czuł tylko namiętność przepływającą z niej niczym prąd elektryczny.

Wraz z dzinsami opadł skrawek niebieskiego jedwabiu i osunęli się oboje na gruby dywan przed kominkiem. Jej naga, połyskująca w blasku ognia skóra była w dotyku gładka, o wiele gładka, by stykać się z szorstkim dywanem, ale Bree zdawała się tego nie czuć.

Nachylił się do jej piersi. Zaczął pieścić sutki językiem, a jego dłoń zsuwała się tymczasem coraz to niżej i niżej i zatrzymała dopiero między jej udami. Zacisnął ją tam na chwilę. I rozluźnił. Kiedy spróbował tego ponownie, opasała go nogami i ukąsiła w ramię. Mocno.

Nie powinna była tego robić, bo w ten sposób podsunęła mu następną wskazówkę co do swoich upodobań i oczekiwań. Poczul, jak ogień rozpała go od środka. Zignorował własne potrzeby. Wszystkie mięśnie miał napięte do ostatnich granic, dygotał na całym ciele. To również zignorował. Uczynił to dla Bree.

Pocałował znowu mocno jej usta, potem szyję i zatrzymał się na piersiach. Lubiła brutalne pieszczoty, ale nie dotyczyło to piersi. Zdążył już odkryć, że te małe, białe wzgórki są niewypowiedzianie wrażliwe. Ujął w garść pukiel jej włosów i łaskotał ich końcami nabrzmiałe sutki.

Bree znowu spróbowała go ugryźć. Najwyraźniej odkrył właściwą sekwencję. Brutalne, zaborcze, przesycone erotyką pocałunki. Potem delikatne łaskotanie. Potem dłoń między uda, za każdym razem na coraz dłużej. Krótka przerwa, i wszystko od początku, za każdym razem coraz bliżej orgazmu.

Wiedział, czego chciała.

Wiedział, że jest już blisko.

I nagle wszystko diabli wzięli.

Odepchnęła go gwałtownie. Nie przygotowany na to stoczył się na dywan i znalazł pod nią. Ciemne włosy miała rozwichrzzone, oczy jej pałały.

– Nie sama. Jeśli zamierzasz doprowadzić mnie do szczytu, to wierz mi, przeżyjesz go ze mną.

Będąc z kobietą nigdy nie tracił nad sobą kontroli, ale ona zaczęła całować go po szyi i klatce piersiowej. Rękami, pocałunkami mówiła mu, że kocha jego ciało, że go pragnie. Jego. Spodobała jej się ta pieszczota włosami; wodziła ich długimi pasmami po jego ciele, dopóki nie poczul, że płonie. Wsunęła kciuki za gumkę jego spodenek, żeby mu je ściągnąć. Przetoczyli się po dywanie pod sam kominek, w jasność i ciepło buchające od ognia, potem na środek salonu, w chłód i ciemność i tam nie było już nic, tylko Bree. Widział jej usta najpierw nad, potem pod sobą; pieściły go pocałunkami, nie dawały odetchnąć i nagle zdał sobie sprawę, w jak wielkim znalazł się niebezpieczeństwie.

Przydusił ją całym ciałem i przytrzymał pod sobą; brutalnie, zbyt brutalnie.

– Bree...

– Ciii.

Boże, nie chce być jej widmowym kochankiem, musi jej uświadomić, że to on, Simon, że wcale nie śpi, że to nie jest żadna gra.

– Kochana...

– Ciii. – Jej szept był niecierpliwy, oszalały. – Proszę cię, Simonie. Kocham cię i chcę tego, chcę ciebie. Teraz. Proszę, błagam...

Przyciągnęła go do siebie z ochryplym okrzykiem pożądania, który odbił mu się echem pod sklepieniem czaszki. Cholera, pomyślał, bo wiedział już, że przegrał. Skłonił ją, by opasała go nogami i przywierając do jej ust wszedł w nią głęboko, do końca.

Ich ciała stopiły się w jedno; skórę miała śliską jak masło. On też. Czego pragnęła ona, tego chciał i on. Nie istniały żadne różnice. Płonął, rozpałała go ta miękkość głęboko w jej wnętrzu. Dawała mu siebie z miłością, z pasją, bez pamięci. Wykrzyknęła jego imię, tak jakby wołała jego duszę. Wykrzyknęła je jeszcze raz, i z jego imieniem na ustach wygięła się gwałtownie w akcie ostatecznego spełnienia.

Rozładowanie przeszło go na wskroś niewysłowioną rozkoszą. I wiedział już, że oddał tej kobiecie duszę.

Kiedy odzyskał wreszcie oddech, kiedy powróciła mu jasność myśli, zmusił się, by uzmysłowić sobie rzecz oczywistą.

Bree niekoniecznie musiała pragnąć jego duszy.

Skrzywdzono ją bardzo. Była bezbronna. I być może potrzebowała kochankę, żeby zaleczyć zadawnione rany, wymazać złe wspomnienia.

Ale to, cholera, bynajmniej nie świadczyło, że jest zakochana w Simonie Courtlandzie.

Rozdział 9

Ogień na kominku wypalił się do cna. Bree leżała wciąż w objęciach Simona, z policzkiem wtulonym w jego tors. Jego palce powolnym, niemal hipnotycznym ruchem przeczesywały jej włosy. Może chciał ją w ten sposób ukołysać do snu.

Nic z tego, w tej chwili nie uspiłaby jej chyba nawet spora dawka środka uspokajającego. Serce biło jej przyśpieszonym rytmem.

Była skrajnie wyczerpana. Nie domyślała się nawet, że w Simonie drzemią tak wielkie pokłady namiętności. Ożył dla niej, z nią. Okazał się być szalonym, zaborczym kochankiem, piratem z kobiecych fantazji, brutalem zadającym rozkosz, gwałcicielem wszelkich zakazów... i dawcą. Dawcą, jakiego Bree nie spodziewała się znaleźć wśród mężczyzn.

Dobrze wiedziała, skąd brało się to uczucie zachwyty, jakiego z nim doznała i lęk, jaki ją teraz ogarniał.

Kochała się już z mężczyzną, który nie odwzajemniał jej miłości i poprzysięgła sobie, że więcej tego nie uczyni. Złamała teraz tę przysięgę, ale tylko dlatego, że Simon dotknął czulej struny jej duszy i serca. Poza tym wszystko pasowało do utartego schematu. Potrzebował kogoś, ale tylko tymczasowo. I pożądał jej, ale pożądanie to jeszcze nie miłość.

– Bree, kochanie...

Na pierwszy dźwięk schrypniętego głosu Simona zacisnęła mocno powieki. Wyswobodziła się z jego ciepłych objęć i jak oparzona zerwała z łóżka.

– Sza, kochany. Zaraz zaprowadzę cię do twojego łóżka. Wiem, że już późno i zimno. Zajmę się tobą.

Simon nagle znieruchomiał.

Odwrócona do niego plecami wygasiała żar w palenisku i rozejrzała się za ubraniami. Swoją koszulkę znalazła na abażurze lampy, a spodenki Simona za fotelem.

Przez cały czas czuła na plecach jego wzrok.

– Wiem, że rano nigdy nic nie pamiętasz – nie wytrzymała w końcu – ale na wszelki wypadek powiem ci, żebyś się czasem podświadomie nie niepokoił. Od czterech miesięcy jestem na pigułkach. Nie, nie dlatego, że spodziewałam się znaleźć w podobnej sytuacji.

Rozregulował mi się zupełnie okres i kiedy poszłam do lekarza, ten zalecił mi sześciomiesięczną kurację pastylkami...

Idiotka, idiotka, idiotka. Fałszywy ton we własnym głosie sprawiał, że cała skręcała się w środku, a Simon nadal ani drgnął. Obserwował ją tylko tymi swoimi ciemnymi,

niezglębionymi oczami.

Wiedziała, że nie śpi. Nie zorientowała się od razu, kiedy wszedł do salonu, ale dotarło to do niej zaraz potem. Pocałunki lunatyka dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Dzisiaj poczucie to pierzchło wraz z pierwszymi pocałunkami Simona. Już dawno domyślała się, że jest o wiele niebezpieczniejszym kochankiem od swojego alter ego. W pewnej chwili uświadomił sobie chyba, że ci kochankowie mogą się jej pomylić. Zawahał się. Próbował jej powiedzieć.

Nie pozwoliła mu. Potem jej reakcje stały się już instynktowne i ślepe. Ten instynkt był teraz jeszcze potężniejszy.

Rozejrzała się po pokoju i podeszła boso do Simona. Przesunęła wzrokiem po jego szyi, ustach, włosach, ramionach... omijając jednak oczy.

– Okay, kochany. Ogień wygaszony, pokój doprowadzony do porządku. Rano nie będziesz miał powodu podejrzewać, że do czegoś tu doszło. Podaj mi rękę. Odprowadzę cię do łóżka.

Simon nadal się nie poruszał, a jego oczy utkwily w jej twarzy. Nie rozumiał, o co jej chodzi, ale chyba wyczuwał, jak jest spięta.

– Proszę cię, Simonie, chodź ze mną.

Powinien ruszyć trochę głową, a wtedy z pewnością dotarłoby do niego, że sytuacja stałaby się nieporównywalnie prostsza, gdyby oboje udawali, że do niczego między nimi nie doszło. Inni kochankowie nie mieli takiej możliwości. Oni tak. A to dzięki jego rzeczywistemu problemowi z lunatyzmem. Zachowywała się wobec niego tak, jakby wierzyła, że znajduje się w lunatycznym transie; pozostawało mu tylko podjąć tę grę i rano wszystko byłoby w porządku.

Daj spokój, Reynaud. Przychodzą ci do głowy, dziwaczne i głupie pomysły. A zresztą, czym tu się przejmować? Dlaczego rano miałyby być inaczej niż zwykle? Przecież świat się nie zmienił przez to, że się kochali. Poza tym, i tak wkrótce wyjeżdża. To, że się w nim zakochała, nie znaczy jeszcze, że on w niej też.

I naraz wyobraziła sobie Simona wijącego się jak piskorz, usiłującego dać jej nieporadnie do zrozumienia, że nie interesuje go trwały związek. Już to przerabiała.

Nie wolno było do tego dopuścić. Może i pomysł jest dziwaczny, ale powinien oszczędzić im obojgu znalezienia się w niezręcznej sytuacji.

– Zaczekaj, Simonie. Zapomniałam, że trzeba wyłączyć lampę. Zapalę światło w korytarzu, żebyśmy nie spadli ze schodów.

Wróciwszy do salonu stwierdziła z ogromną ulgą, że Simon wstał. Upchnęła sobie pod pachę ich ubrania i wzięła go za rękę. Chyba wreszcie jej posłuchał. Teraz pozostawało jej tylko odprowadzić go do pokoju.

Jednak trochę za wcześnie poczuła ulgę.

Simon, zamiast ruszyć za nią, uniósł jej dłoń do oczu.

– Musimy iść na górę. Już późno. Strasznie późno... – Poczowała, jak jego kciuk przesuwa się po jej wilgotnej ze zdenerwowania dłoni i odnajduje na nadgarstku tętniącą w szalonym rytmie żyłkę. Puścił jej rękę, jakby nagle zrozumiał, że powoduje ją strach. – Nie musisz się niczego obawiać. Niczego.

Rano będziesz pamiętał tylko, że smacznie sobie spałeś.

Ujął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała. Jego oczy omiatały jej twarz z płomienną, niezgłębioną intensywnością. Nagle pochylił się i pocałował ją.

Taki wymyślił sobie sposób, by zamknąć jej usta. Ten pocałunek był tak czuły, tak nieprawdopodobnie łagodny, że odniosła idiotyczne wrażenie, iż zaraz się rozpłacze.

A potem wziął ją za rękę i poprowadził schodami.

Do swojego pokoju.

Do swojego łóżka.

– No, wszystko czyste. – Simon położył gąbkę na krawędzi porcelanowej wanny i wyciągnął korek.

– Nareszcie – odetchnęła Jessica. – Nienawidzę się kąpać.

Śmiejąc się i słuchając jednym uchem nieustannego trajkotania małej, owinał ją rękami. Poprosiła, żeby przeczytał jej przed snem jakąś bajkę. Przystał na to. Spytała, czy może sobie zapuścić takie długie włosy, jakie ma Bree. Pozwolił. Chciała spać w swoim czerwone – zielonym podkoszulku. Zgodził się. Gdyby Jess poprosiła go teraz o gwiazdkę z nieba, z pewnością by ją dostała.

Mała trzpiotka pozbyła się rękawiczki i na golasa pomknęła korytarzem do swojej sypialni. Simon ruszył jej śladem.

Trybu życia, jaki prowadził od trzech dni, pozazdrościłby mu niejeden kawaler. Wolny seks z namiętną, uległą kobietą. Żadnych zobowiązań, żadnych więzów, żadnych komplikacji. Do diabła, za dnia ta dziewczyna udawała nawet, że do niczego nie doszło. Lepszego układu nie można już sobie było wymarzyć.

Dla faceta, któremu chodziło o seks bez zobowiązań, sytuacja była idealna.

Jeśli jednak ten facet, godząc się ze wszystkimi wynikającymi stąd komplikacjami, zamierzał stanąć z ową kobietą na ślubnym kobiercu, sytuacja stawała się cholernie niezręczna.

Przykucnął przy stercie książek w różowym pokoiku Jessiki, szukając jej ulubionych. I nagle uświadomił sobie, że nie może utracić tej kobiety. Nie pozwoli jej odejść. Więcej czasu. Potrzeba mu więcej czasu...

Niemal stracił równowagę trafiony poduszką w tył głowy. Zaskoczony odwrócił się na piętach i dostał drugą poduszką w nos.

– Musiałam, tatusiu! Nie słuchałeś, co do ciebie mówię!

Podskakujący na materacu brzdąc w czerwono-zielonym podkoszulku miał rację. Nie słuchał. Był myślami gdzie indziej. To pod wpływem Bree zmienił swój stosunek do córki. Miłość to poważna sprawa, ale nareszcie dotarło do niego, że musi znaleźć się w niej miejsce na śmiech i radość.

Wyprostował się powoli i z poważną miną podniósł z podłogi jedną z poduszek. Tonem belfra zagaił:

– To nieładnie rzucać poduszkami. Bardzo nieładnie.

Coś w wyrazie twarzy, jaki przybrał, musiało go zdradzić, bo w oczkach małej zapłonęły figlarne ogniki.

– Naprawdę?

– O, tak, jak najbardziej. Bałaganienie i dzikie zabawy przeważnie źle się kończą. Obawiam się, że należy ci się surowa nauczka, Jess. Bardzo surowa.

Uderzył ją delikatnie poduszką w główkę. Zachichotała.

Bree, wychodząc w kilka minut później z łazienki na parterze, usłyszała okropny harmider dolatujący z góry – krzyki, wycia, potępieńcze wrzaski. Z głową owiniętą turbanem z ręcznika wbiegła po schodach przeskakując po dwa stopnie i pognęła korytarzem.

W progu sypialni Jessiki zatrzymała się jak wryta. W pokoju unosiły się gęstsze niż śnieg kłęby pierza. Po podłodze walały się abażury z lamp, zabawki i książki, pościel była skotłowana. Jess siedziała w kucki po jednej stronie łóżka, po drugiej czał się jej ojciec. Oboje zaśmiewali się do rozpuku. Bree poczuła radość. Simon nadal miał w sobie coś z dziecka, ale nie spodziewała się, że da temu czemuś dojść do głosu. Courtland, nawet sobie nie wyobrażasz, jak cię kocham. Ta chwila należała bezwzględnie do ojca i córki. Dla Bree nie było tu miejsca. Chciała wycofać się na palcach, ale było już za późno. Dwie pary oczu, jednakowo ciemnych, jednakowo głęboko osadzonych i przekornych, dostrzegły ją równocześnie.

– Oho. – Jessica przełknęła głośno ślinę i zwracając się do ojca powiedziała: – Chyba ci się dostanie, tatusiu.

Bree wzięła się pod boki i przybrała najgroźniejszą minę, na jaką było ją stać.

– To oburzające! Coś takiego! Czy zdajecie sobie sprawę, ile tu będzie sprzątanania? Nie widziałam jeszcze takiego bałaganu!!

Od strony dwójki winowajców, ciągnąc za sobą warkocz pierza, nadleciała poduszka i z głuchym pacnięciem wylądowała na jej głowie.

Rzucił ją bez ostrzeżenia dwumetrowy drab kryjący się po drugiej stronie łóżka.

O jedenastej wieczorem dwumetrowy drab pojawił się znowu w jej pokoiku na wieży. Bree modliła się, żeby nie przyszedł, ale na wszelki wypadek położyła się do łóżka w biustonoszu, w majtkach i długiej do kostek, zapinanej pod samą szyję koszuli nocnej, i teraz rada była ze swej przezorności.

Słyszała, jak stawia coś na stoliku, ale że to magnetofon – zorientowała się dopiero wtedy, gdy go włączył i z głośnika popłynęła muzyka.

Chwycił ją za rękę i wyciągnął z łóżka. Zarzucił sobie jej ramiona na szyję i przyciągnął do siebie. Z początku była zaskoczona, opierała się, ale robiła to już przedtem i nigdy nie skutkowało. Poruszał się z nią wśród ciemności na wpół tańcząc, na wpół pieszcząc w rytm nastrojowej muzyki. Marzyła o tym. Marzyła, by tak tańczyć, nie z lunatykiem, nie z pełnym rezerwy Courtlandem, ale z wypadkową ich obu. Z mężczyzną, na jakiego mogliby się wspólnie złożyć.

Po chwili jej nocna koszula spłynęła na podłogę.

Ten sam los spotkał biustonosz i majteczki. A oni, teraz już nadzy, tańczyli dalej pieszcząc jedno drugie, podniecając jedno drugie, aż w końcu nastąpiło to, co było nieuniknione.

Kiedy kładł ją na łóżku, przyciągnęła go do siebie z pasją. Jego imię nosił każdy dźwięk, każde poruszenie w ciemnościach. Jego długie nogi, śliskie od potu, jego oszałamiający smak... nigdy tego nie zapomni. Ten widmowy kochanek brał ją z umiarkowaną brutalnością, z cudownym wyczuciem, doprowadzając stopniowo do szaleństwa.

Przekroczyła próg czekając na niego. W parę chwil później, kiedy leżała rozdygotana i wyczerpana w jego ramionach, poczuła, jak gładzi jej policzek i usłyszała jego zdyszany szept:

– Bree...

Próbował tego każdej nocy. Każdej nocy odpowiadała mu tak samo.

– Sza – mruknęła i teraz i zamknęła mu usta pocałunkiem. Nie potrafiła nie wpuścić go do swego łóżka, ale niczego nie żądała. Żadnych słów, żadnych miłosnych obietnic.

Dziś było jej szczególnie ciężko na duszy. Zawsze chciała być z Simonem szczerą, zdając sobie jednocześnie sprawę, że on tego nie zrozumie – nie przeżył przecież tego, co ona. Wspólnym mianownikiem jej starych błędów było to, że nie potrafiła

spojrzeć prawdzie w oczy. Za każdym razem, za każdym cholernym razem myliła pożądanie z miłością.

Na jej oczach Simon odkrywał na nowo śmiech, życie, namiętność. I, o ironio, to wstrząsało nią najbardziej. Im upojniejsze były ich noce, tym boleśnieszta stawała się prawda. Lada dzień, lada noc, Simon uświadomi sobie to, co ona już wiedziała. Im bardziej się zmieniał, tym mniej była mu potrzebna.

– Na pewno będę wyglądać ślicznie?

– Na pewno, pod warunkiem, że przestaniesz się wiercić. – Bree trudno było rozmawiać z grzebieniem w zębach. Jeszcze trudniej zaplatać w warkocz włosy Jessiki klęcząc na ganku przed domem w wietrzne popołudnie. Zamoczyła grzebień w szklance wody, zwilżyła włosy i zaczęła misterny splot od nowa.

– A ile trzeba czasu, żeby stać się śliczną?

– To pytanie kobiety zadają sobie od zarania dziejów, skarbie, ale w twoim przypadku nie potrwa to już długo.

– A mnie się wydaje, że to już cała wieczność – burknęła niechętnie Jessica.

Bree stłumiła chichot. Gdyby się roześmiała, grzebień wypadłby jej z zębów. Zaplatanie w warkocz niesfornych włosów czteroletniej dziewczynki było nie lada zadaniem. Palce już ją bolały od zwilżania, okręcania i zwijania, ale był to przyjemny ból.

Tego ranka uratowała zrozpaczonego Simona, któremu zgasł nagle ekran monitora. Z takim polotem rozwiązywał zawile problemy techniczne, a stawał się całkiem bezradny, kiedy zdarzyło mu się wcisnąć niechcący niewłaściwy klawisz.

– Przysięgałaś – wypomnił jej – na początku naszej znajomości przysięgałaś, że nie masz o tym zielonego pojęcia.

Uśmiechnęła się.

Jeszcze jeden przyjemny ból. Bree kolekcjonowała każdą chwilę, każde wspomnienie, każdy obraz. Na rozpacz przyjdzie jeszcze czas, nie podda się jej już teraz. Szkoda było tych ostatnich chwil, jakie spędza z Courtlandami. Nie myślała o wyjeździe, wolała rozkoszować się każdą minutą, jaka ją jeszcze od niego dzieli, a to popołudnie stanowiło istną skarbnicę przyszłych wspomnień.

Po ciemnym niebie pędziły ołowiane chmury i powietrze miało niesamowity, elektryczny posmak. Nadciągała burza, ale była jeszcze daleko. Podmuchy wiatru przyginały do ziemi łany trawy, która z każdym dniem wydawała się wyższa i bardziej zielona. Toczone erozją wzgórza w oddali sprawiały wrażenie brązowo-pomarańczowych zacieków. Ileż tu przestrzeni. Ileż swobody. Dusza może tu oddychać pełną piersią, a człowiek rozkoszować się wolnością.

Jak ty stąd wyjedziesz, Reynaud? Czy potrafisz go opuścić? Westchnęła. Na te pytania nie było prostych odpowiedzi.

– Bree, ja już nie mogę. Siedzę tutaj od miliona trylionów godzin. Długo jeszcze?

– Zaraz, zaraz, czy to ta sama dziewczynka, która błagała mnie niedawno, żebym ją uczesała? – Czy potrafisz się z nią rozstać, Reynaud? – Daj mi jeszcze minutę. Naprawdę szybciej już nie potrafię.

– Och, nie.

– Co, och, nie?

– Och, nie. To moja mamusia. Przyjechała po mnie, Bree.

Bree związała koniec warkocza Jessiki cienką gumką i wstała. Ona też zauważyła biały samochód kombi podjeżdżający pod ganek, była jednak pewna, że Jessica się myli.

– To nie może być twoja mamusia, malutka. Ona ma przyjechać za kilka dni. Gdyby nawet wcześniej wróciła z wakacji, zadzwoniłaby przecież, a nie dzwoniła...

Urwała. Na widok wysokiej blondynki wysiadającej z samochodu poczuła ucisk w krtani. Jeszcze nie. Błagam cię, Liz. Jeszcze tylko kilka dni. Ciebie nie powinno tu jeszcze być.

To była jednak ona. Przez dwie sekundy Jessica zdawała się wahać, potem zerwała się i zbiegła po schodach wpadając w objęcia matki.

Bree poczuła się nagle rozczochrana, zaniedbana i cholernie mała – Liz była niemal wzrostu Simona i miała królewską, posagową figurę. Ubrana była w kremową koszulę i beżowe džinsy trochę wymięte w podróży, ale i tak wyglądała w nich wspaniale. Klasa, pomyślała z przygnębieniem Bree. Postawa, klasyczne rysy twarzy, gracia. Do pięt jej nie dorastasz, Reynaud.

Upłynęło kilka chwil, zanim Liz podniosła wzrok i zauważyła ją.

– Mamusiu, to jest Bree.

– Tak też sobie pomyślałam. – Liz wstąpiła na schody z wyciągniętą ręką. – Simon opowiadał mi o tobie przez telefon. Miło mi cię poznać.

Ani postawa, ani klasyczne rysy twarzy nie były w stanie ukryć wilgotnych dłoni i drżenia palców. Liz była zdenerwowana, roztrzęsiona. Patrząc na nią z bliska Bree dostrzegła oznaki napięcia na twarzy, drgające wargi zmuszające się do uśmiechu.

Nie ulegało wątpliwości, co oznacza przyjazd Liz – ostatnie odliczanie przed rozstaniem z Simonem.

– Wejdz, proszę – zaprosiła ją Bree cofając się ku drzwiom. – Zaraz poszukam Simona.

– Może się... zdenerwować. Powinnam była zadzwonić...

– Nie zdenerwuje się – zapewniła ją z przekonaniem Bree.

– Nie będę wam długo zawadzać.

– Nikomu tu nie zawadzasz. Bardzo fajnie, że przyjechałaś. Od tego wiatru zasycha w gardle, prawda? Zrobię ci mrożonej herbaty.

Simon musiał usłyszeć rozmowę przy drzwiach frontowych, bo nadszedł z marsem na czole od strony swojego gabinetu.

– Bree? – Znieruchomiał na widok żony. Liz wyprostowała się powoli.

– Cześć, Simonie.

– Liz?

– Skróciłam sobie urlop. Nie mogłam już wytrzymać bez Jessiki i doszłam do wniosku, że dobrze by było, gdybyśmy omówili zaistniałą sytuację.

– Najwyższy czas – mruknął Simon zerkając na Bree.

Odniosła idiotyczne wrażenie, że najchętniej zniknęłoby stąd wraz z nią i zostawił byłą żonę w korytarzu. Działo się tu coś, czego nie rozumiała, ale nie było czasu, by w to wnikać.

– To może przygotuję wam coś do picia. Poza tym jestem przekonana, że Jess nie może się już doczekać, kiedy wreszcie oprowadzi mamę po domu. Potem znajdziecie może chwilę czasu, żeby porozmawiać na osobności, a my z Jessicą zakrzątniemy się w tym czasie w kuchni.

Pół godziny później Bree płukała sałatę nad zlewem, a Jessica pomagała jej stojąc na krześle. Było to ulubione zajęcie małej, w związku z czym Bree zmuszona była układać menu każdej kolacji uwzględniając w nim świeżą sałatę.

Zerknęła w dół, zdziwiona milczeniem dziewczynki, która wprawnymi paluszkami rwała liście z główki sałaty. Biedne dziecko, takie spięte. Jessica poprawiła na nosku okulary, pozostawiając na szkle odcisk kciuka, i co chwila zerkając na drzwi. Wiedziała, że rodzice rozmawiają, wiedziała, że matka przyjechała tu po nią.

Bree uścisnęła jej rączkę, ale nic nie powiedziała. Ona też wiedziała, że Liz przyjechała po małą.

Po południu zachmurzyło się już tak, że w kuchni zapanował posępny półmrok. Bree włączała właśnie górne światło, kiedy weszła Liz. Twarz miała szarą jak popiół. Podeszła od razu do Jessiki i objęła ją.

– No co, prosiaczku? Tatuś opowiadał mi, jak dobrze się tu czujesz. Podoba ci się tutaj?

– Bardzo mi się podoba, mamusiu.

Liz uśmiechnęła się, ale Bree dostrzegła w tym uśmiechu smutek i ból.

– Tatuś uważa, że chciałabyś z nim zostać.

– Tak!

– I bardzo dobrze – ciągnęła wesoło Liz. – Jeśli chcesz, możesz zostać jeszcze trochę z tatusiem. Na razie. Nie na zawsze, ale na razie. Co ty na to, robaczku?

Chyba to właśnie Jess chciała usłyszeć, ale kiedy zerknęła na Bree, w jej oczkach malowała się rozpacz. Bree zauważyła to, ale akurat w tym momencie sama była oszołomiona. A więc to o tym tak długo rozmawiali. Simon walczył o swoją córeczkę. Właśnie to chciał jej powiedzieć. To chciał jej przekazać spojrzeniem przy drzwiach frontowych.

– Jeśli myślisz, że łatwo mi ją tu zostawić, to się mylisz.

Dopiero teraz Bree uświadomiła sobie, że Jess wybiegła tymczasem z kuchni i jest z byłą żoną Simona sama.

– Nigdy nie wątpiłam, że kochasz Jessicę – wybąkała niepewnie.

Liz wyglądała przez okno. Oczy miała suche, spojrzenie nieobecne.

– Między nią a Simonem zawsze występowała swoista więź duchowa. Kiedy była niemowlęciem, wystarczyło, że Simon wszedł do pokoju, a od razu przestawała płakać. A przed pół rokiem obudziła mnie w środku nocy wołając go. Miał wtedy wypadek samochodowy. Nic mu się nie stało, ale wyglądało to tak, jakby coś przeczuła. Przed kilkoma tygodniami z kolei, kiedy wbiła sobie do głowy, że musi zobaczyć się z Simonem... – Liz potrząsnęła głową. – Nigdy nie wiedziałam, jak z nią postępować. Skąd taki upór u czteroletniej dziewczynki? A jeśli naprawdę woli być z ojcem niż ze mną...

– Jeśli czujesz się winna, to moim zdaniem nie masz ku temu żadnych powodów – odezwała się cicho Bree. – Pamiętam jak sama, będąc dzieckiem, miliony razy garnęłam się do ojca. A potem równie często do matki. Może Jess jest tym okresie swego życia, kiedy bardziej potrzebuje Simona, ale to wcale nie znaczy, że ciebie kocha mniej.

Liz skrzyżowała ramiona.

– Tak myślisz?

– Jestem tego pewna.

– Tak bardzo się niepokoję, że źle postępuję. Że źle ją wychowuję.

– Dobry Boże, Liz. Spójrz na to z dystansem. Jess jest bystrym, cudownym, żywym, zdrowym, mądrym dzieckiem o czułym serduszku. I ty to nazywasz złym wychowaniem?

– Wiesz co, Bree? – W oczach Liz pojawił się teraz nowy wyraz.

– Słucham? , – Nietrudno zrozumieć, dlaczego moja córka uważa cię za kogoś

specjalnego. – Liz uniosła machinalnie pokrywkę stojącego na piecu garnka. – Simonowi też się nie dziwię. Nie wiem, co z nim zrobiłaś, ale jest teraz zupełnie innym człowiekiem.

– Innym?

– Nigdy jeszcze nie rozmawiałam z nim tak, jak dzisiejszego popołudnia. Zazwyczaj nie rozmawiamy o interesach, czasem tylko pyta, czy nie potrzeba mi pieniędzy, i to wszystko. Tak samo mogliby rozmawiać obcy sobie ludzie.

Bree nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Mniej więcej podobnie sprawy się miały, kiedy byliśmy małżeństwem – podjęła Liz. – Był dla mnie dobry. Zawsze rozważny. Zakochałam się w nim po uszy od pierwszego wejrzenia. Był przystojny i opiekuńczy – mimo młodego wieku tyle już w życiu osiągnął i nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Nigdy nie spotkałam nikogo tak silnego. Wiedziałam, że jest zamknięty w sobie, ale myślałam, że z czasem się to zmieni, że się przede mną otworzy. – Pokręciła głową.

– Nigdy nie udało mi się przebić otaczającej go skorupy. A przynajmniej nie tak, jak bym sobie tego życzyła. Ty tego dokonałaś.

– Liz...

– Tak, wiem. To krepująca rozmowa. Nie spodziewałaś się usłyszeć od byłej żony takich słów. Ale ja najlepiej znam Simona i wiem, że on ciebie potrzebuje.

– Liz uśmiechnęła się i nagle zmieniła temat. – Chyba zbiera się na burzę. A więc komu w drogę, temu czas, ale przedtem chcę się jeszcze zobaczyć z Jessicą.

Po wyjściu Liz Bree zaczęła krzątać się po kuchni jak fryga. Pokroiła warzywa, zrobiła sałatkę, wstawiła wodę, zagniotła ciasto. W głowie wciąż huczały jej słowa Liz: Nigdy nie udało mi się przebić tej skorupy. Ty tego dokonałaś. On ciebie potrzebuje.

Gruba pokrywa czarnych chmur rozciągała się aż po horyzont, ale nie spadła jeszcze ani kropla deszczu. Jasno oświetlona kuchnia zaczęła się wypełniać znajomymi zapachami, Bree jednak nadal czuła się pobudzona i niespokojna. Pragnęła wierzyć słowom Liz, ale trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy.

Simon rzeczywiście się zmienił. Przykładem tego były ich noce. Za dnia również zachowywał się jakoś inaczej. A dzisiaj walczył o prawo do częstszego widywania się z Jess – jeszcze jeden znak, że przewartościowaniu uległy jego priorytety, że sięgał po to, co było dla niego ważne.

Simon cię nie potrzebuje, Reynaud. Do niczego nie jesteś mu już potrzebna.

Zorientowała się, że Simon stoi w drzwiach, dopiero wtedy, kiedy podniosła

wzrok znad pieca. Jego widok utwierdził ją tylko w wątpliwościach. Kiedy go po raz pierwszy ujrzała, oczy miał twarde jak stal, samokontrola przebijała z każdego jego kroku, ze sposobu, w jaki rozmawiał, w jaki się poruszał.

Tej twardości już w nim nie było, zastąpił ją inny rodzaj wewnętrznej siły. Był ożywiony, otwarty, pełen energii. Wszystko to miał wypisane na twarzy. Kiedy teraz szedł ku niej, wyglądał na człowieka gotowego przenosić góry.

Przyszło jej do głowy, że w tym akurat momencie ona jest taką górą, którą zamierza przenieść.

– Liz wyjechała? – spytała.

– Wyjechała. Stoję tu od dziesięciu minut i patrzę, – jak uwijasz się po kuchni. Spodziewasz się na kolacji oddziału piechoty morskiej? – spytał wesoło.

– Może trochę przesadziłam. – Wstrzymała oddech, kiedy jego dłonie spoczęły na jej ramionach. Tak się nieszczęśliwie składało, że znał jej ciało lepiej niż ona sama. Automatycznie, instynktownie odkrył te napięte, naprężone mięśnie na jej karku.

– Jesteś przemęczona. I nic dziwnego. Przez cały dzień nie miałaś chwili wytchnienia. Ja, Jess, a na dodatek jeszcze Liz. – Odgarnął jej włosy przygotowując się do masażu. – Musimy odbyć małą rozmowę, Reynaud.

– Rozmowę? – Swoją obecnością sprawiał, że miała trudności z zebraniem myśli. Jego stłumiony, cichy głos szarpał jej nerwy tak samo jak te obietnice, w która tak bardzo chciała wierzyć.

– W dogadaniu innym nie masz sobie równych. W rozmowie jesteś ostatnio do niczego. Co się z tobą stało?

– Simon...

– Po kolacji, kiedy Jessica pójdzie spać, porozmawiamy. O tobie. Przyjdę z winem do twojego pokoiku na wieży. Do tej pory bardzo dobrze nam się tam gawędziło. I wyznasz mi, co cię gryzie, choćby miało to mnie kosztować całą butelkę.

Serce zabiło jej szybciej. Bardzo dobrze nam się tam gawędziło. A więc to już. Gra skończona. Powinna się spodziewać, że nie będzie jej przeciągał w nieskończoność i nie była tylko pewna, czy powinna teraz odczuwać ulgę, czy raczej strach...

Nagle zimny dreszcz przeszedł jej po plecach. Ogarnął ją strach, ale nie był to strach przed zbliżającą się rozmową z Simonem.

– Simonie, a gdzie jest Jessica?

Zacisnął mocniej dłonie na jej ramionach, a kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie.

– Dopóki Liz nie wyjechała, była z nią na górze.

Chyba nadal tam jest. Cholera, nie rób mi tego, Bree.

Zwlekałem, bo myślałem, że potrzeba ci czasu, że musisz się przekonać, iż możesz mi zaufać. Ale sprawy zaszły już za daleko. Porozmawiamy. Żadnych wykrętów, żadnych wymówek.

Bree spróbowała się uwolnić z jego uścisku. Nie mogła zapomnieć tej rozpaczki w oczach Jess, kiedy mała rozmawiała z matką.

– Uważam, że powinniśmy poszukać małej.

– Po co? – zapytał z irytacją.

Nie była to przekonująca odpowiedź, ale tylko taka przyszła jej do głowy.

– Bo coś mi się tu nie podoba.

Simon zamknął oczy. Poczwała, jak cały sztywnieje. Zraniła go. Podejrzał, że próbuje go zbyć. Podejrzał, że chce uniknąć szczerzej rozmowy.

– To nie jest żaden wykręt – powiedziała szybko.

– Błagam cię, Simonie. Poszukajmy jej.

Posłuchał, ale niechętnie – z początku. Wkrótce przekonali się oboje, że Jessiki nie ma ani na pierwszym, ani na drugim piętrze, że nie ma jej w ogóle w domu.

Kiedy spotkali się w końcu na parterze, fale deszczu zaczynały już siec okna. Niebo przeorała pierwsza błyskawica i w korytarzu przygasło światło. Bree aż za dobrze pamiętała, jak w tych okolicach wygląda burza. Lada chwila zapadną kompletne ciemności. Lada minuta z nieba luną kaskady wody i zaleją wszystko.

Badlands nie było miejscem bezpiecznym, zwłaszcza dla małej dziewczynki w czasie burzy.

Rozdział 10

– Nie denerwuj się tak, Bree. Nie ma jej najwyżej od dziesięciu minut, a mogła pójść tylko w jedno miejsce. – Simon naciągnął żółtą nieprzemakalną kurtkę, wepchnął w kieszeń latarkę i porwał koc.

– Do swojej kryjówki. – Bree odchodziła od zmysłów. – Nic nie rozumiem, Simonie. Chciała tylko zostać z tobą. No i została, a więc gdzie tu sens? Dlaczego miałyby uciekać?

– Nie wiem, ale znajdziemy ją. Samochodem droga tam i z powrotem nie zajmie więcej niż kilka minut.

– Jadę z tobą...

– Nie – odparł stanowczo. – Mogła odejść niedaleko, deszcz ją zaskoczył i już wraca. Jeśli pojedziemy oboje, nie zastanie nikogo w domu.

– A jeśli nie poszła do swojej kryjówki? A jeśli...

– Bree. – Simon ujął w dłonie jej twarz. Oczy miał czarne niczym wilgotne kamienie. – Jeśli zabłądziła, znajdzie ją. Gdybyś ty zabłądziła, też bym cię znalazł. Nie ma w tym nic skomplikowanego. To naprawdę prosta sprawa.

Kiedy wyszedł, Bree zestawiła z pieca przypaloną kolację, zniosła do holu przy drzwiach frontowych tyle dodatkowych koców, że można by nimi obdzielić batalion zabłąkanych dzieci i zapaliła wszystkie światła na parterze. Zajęło jej to dziesięć minut.

Potem nie pozostało jej już nic innego, jak spacerować nerwowo tam i z powrotem. Temperatura na zewnątrz zaczęła spadać i nawałnica przybierała na sile. Bezlitosny wiatr wciskał się z wyciem z każdą szparę starego domu, a deszcz siekł okna z łomotem przypominającym bombardowanie metalowymi igłami. Minęło dwadzieścia minut, a Simon nie wracał. Z dwudziestu minut zrobiło się trzydzieści. Potem czterdzieści pięć.

Simon, jak można to było przewidzieć, zachował w kryzysowej sytuacji spokój i zimną krew. Powiedział, że ją znajdzie i Bree wiedziała, że dotrzyma słowa. I dodał, że ciebie też by znalazł, Reynaud. Zadrżała na wspomnienie jego ciemnych, błyszczących oczu. Widziała już w nich ten wyraz i myślała wtedy, że to namiętność. Wielka, nieposkromiona namiętność. Ale przed chwilą, tu, w holu, pożądanie było ostatnią rzeczą, o jaką można by go posądzić, ją zresztą też.

Ten wyraz jego oczu niezwykle, wręcz niewiarygodnie kojarzył się z... miłością. Podobnie rzecz się miała z rozmową, którą zagaił w kuchni. A jeśli się mylisz, Bree? A jeśli...

Z zadumy wyrwał ją odbłask samochodowych reflektorów w oknach wychodzących na ganek. Rzuciła się do frontowych drzwi. Simon w mokrej, połyskującej wilgocią kurtce wycofywał się już z wozu z owiniętym w koc dzieckiem na rękach.

– Nic jej nie jest? – zawołała Bree.

– Trochę przemokła i zgłodniała, ale ogólnie wszystko w porządku. – Wniósł Jess do środka. Mokre włosy przylgnęły mu do głowy, krople deszczu skapywały z rzęs. Bree odwinęła koc. Mała patrzyła na nią szeroko rozwartymi oczkami, twarzyczkę miała upačkaną błotem, a warkocz niemiłosiernie splątany.

– Stłukły mi się okulary, Bree – odezwała się drżącym głosem.

– Okulary można naprawić, maleńka. – Głos Bree też lekko drżał. – Najważniejsze, że tobie nic się nie stało..

Simon zrzucił z siebie mokrą kurtkę i przykucnął obok Bree. Wspólnymi siłami rozebrali Jess z przemoczonego ubranka. Była przemarznięta, ale podczas burzy lepiej jej było nie kąpać. Simon zaniósł ją na górę i ubrał w nocną koszulkę. Bree owinęła małą w koc.

Na koniec wszyscy troje wylądowali w kuchni. Jessica siedziała na kolanach ojca i pałaszowała z wilczym apetytem to, co dało się uratować z przypalonej kolacji. Bree nałożyła dużą porcję Simonowi, przyniosła mu suchy podkoszulek i ręcznik, a ponieważ nadal wyglądał jak zmokła kura, nałala mu solidną porcję whisky. Potem rozejrzała się po kuchni, w której panował nieopisany bałagan, i podeszła do zlewu.

– Mamusia pozwoliła mi na razie zostać. Na razie, tatusiu. Wiesz, co to znaczy.

– Nie, słoneczko. Będziesz mi musiała wytłumaczyć.

– To znaczy, że nie będę mogła z tobą stale mieszkać. Na razie, to znaczy, że niedługo. – Jessica wypila kilka łyków mleka. – Tatusiu, musisz mnie posłuchać.

– Cały zamieniam się w słuch.

– Nie chciałam cię wcale nastraszyć. Ja nie uciekłam. Chciałam tylko przeczekać gdzieś, dopóki mamusia nie wyjedzie. Ale potem zaczęło padać i zagrzmiało, to się schowałam. Aleja się nie chowałam przed tobą, a więc się nie denerwuj...

– Nie denerwuję się, słoneczko.

– Na pewno?

– Na pewno.

– No to jak się nie denerwujesz, to porozmawiajmy o czymś innym.

– O czym tylko zechcesz. – Simon otarł jej z policzka rozmazane mleko.

– Posłuchaj, tatusiu, wszystko już sobie obmyśliłam. Ożenisz się z Bree, a potem

będziemy tu mogli we trójkę mieszkać. Jak rodzina. Będziemy rodziną. I mamusia też może z nami zamieszkać. Mamy dla niej mnóstwo miejsca. Mamy mnóstwo miejsca dla każdego.

Ściereczka do naczyń wypadła Bree z ręki. Woda lała się z kranu wypełniając powoli zlew, a Jessica paplała dalej:

– To dobry dom. W tym domu wszyscy się śmieją.

Ty. Ja. Bree. Jesteśmy szczęśliwi. Dobrze nam w tym domu, tatusiu.

Simon z niewzruszonym spokojem wsunął córeczce do buzi kolejną łyżeczkę klusek.

– Z początku uważałem, że to głupi pomysł, ale zaczynam się powoli przychylić do twojego zdania. Jeśli podoba ci się ten dom, zatrzymamy go, robaczku. Zadowolona?

– Zadowolona.

– Ale twoja mamusia i ja nie jesteśmy już ze sobą. Nie da się tego naprawić, Jess.

– Trudno.

– I musimy sobie coś od razu wyjaśnić. Martwisz się, kiedy mamusia jest smutna. Martwisz się, kiedy ja jestem smutny. Chciałbym, żebyś postarała się pamiętać, że jesteśmy dorośli. Dorośli potrafią się o siebie troszczyć. Nie musisz się o nich martwić.

– Rozumiem.

Zlew zaczynał się przelewać. Bree pośpiesznie wyszarpnęła korek i sięgnęła szybko po ręcznik. Serce waliło jej jak młotem. Simon zniżył teraz głos. Ledwie było słychać, co mówi.

– Kocham cię, Jess. Możesz na to liczyć przez całe życie – to się nigdy nie zmieni. Ale miłość między dorosłymi jest trochę inna. Nie mogę zmusić Bree, żeby tu została, jeśli ona tego nie chce.

– Ale...

Światło nagle zamigotało i kuchnia pogrążyła się w ciemnościach. Komentarz Simona nie bardzo nadawał się dla uszu dziecka. Bree stała jak sparaliżowana.

Tylko Jessica pisnęła:

– Ojej! Żarty jakieś, czy co?

Było wpół do jedenastej, kiedy Bree upięła sobie włosy na czubku głowy i weszła do wanny w łazience na piętrze. Woda była gorąca, zmięczona odrobiną olejku, a kilka kropli perfum nadało jej przyjemny zapach. Bree oparła się plecami o zimną, porcelanową krawędź i przymknęła powieki.

To był nieprawdopodobny dzień, od niespodziewanego przyjazdu Liz

poczynając, poprzez zniknięcie Jess, do szczęśliwego odnalezienia tej ostatniej. Do tego wszystkiego jeszcze awaria zasilania.

Bree uśmiechnęła się wdychając wonną parę. Wchodząc do wanny czuła się wykończona fizycznie i psychicznie. Teraz gorąca kąpiel dokonywała powoli cudu. Mięśnie rozluźniały się stopniowo pod wpływem ciepła, serce nie waliło już jak młotem. W głowie zaczynało się przejaśniać i mogła się wreszcie skupić na tym, co chodziło za nią przez cały dzień.

Simon.

Wspomniała tę noc, kiedy Simon pierwszy raz zakradł się do jej łóżka, a ona wcale się go nie przestraszyła. Przypomniało jej się, jak wytykał jej tryb życia, który prowadziła. Pomyślała o tym, jak dobrze rozumieją się w łóżku i w uszach zabrzmiał jej echem ten cichy, schrypnięty głos tłumaczący Jessice, że nie może jej siłą zatrzymać.

Simon ją kochał.

Tylko kompletna idiotka mogła tak opacznie tłumaczyć sobie jego zachowanie.

Nie sądzisz, Reynaud, że ta kompletna idiotka za długo już wyleguje się w wannie?

Wstała, wyciągnęła korek i sięgnęła po ręcznik. Nagle zaczęło jej się śpieszyć. Wytarła nogi, przejechała ręcznikiem po plecach. Włochaty materiał zahaczył o naszyjnik. Rzadko zdejmowała swój *maron*, nawet do kąpieli. Stary cajuński przesąd mówił, że *maron* zawsze uchroni ją przed zejściem na manowce.

Ściągnęła go teraz z szyi i położyła na zlewie.

Sięgnęła do szpilek przytrzymujących włosy na czubku głowy. Spłynęły jej na nagie plecy splątana masa. Odwiesiła ręcznik i ostrożnie otworzyła drzwi na korytarz.

Na piętrze było cicho jak makiem zasiał. Jej nagą skórę owiał prąd zimnego powietrza. Drzwi od pokoju Jessiki były zamknięte, ale te od sypialni Simona w drugim końcu korytarza pozostawały lekko uchylone. Na korytarz sączyła się stamtąd smuga bladeżółtego światła. Chyba czytał. Poczwała, że dostaje gęsiej skórki.

Pewna była swego uczucia do Simona, ale planu nie miała żadnego. Tak było przez całe życie – zamiast planować, kierowała się emocjami i źle na tym wychodziła. Teraz jednak było inaczej. Robi to dla Simona, który nie wierzył, że chce być z nim szczerą.

Wzięła głęboki oddech. Schody prowadzące na drugie piętro, do jej pokoiku na wieży, znajdowały się na prawo, tuż obok łazienki. Minęła je i poszła dalej.

Przysiadłszy na rogu łóżka, Simon ściągnął skarpetkę, potem drugą. Oczy piekły go ze zmęczenia, był zdenerwowany i niespokojny – nie czuł się w nastroju do rozmowy z Bree. Ale porozmawia z nią. Jeszcze dzisiaj. Da tylko chwilę wytchnienia obolałym stopom. Z Bree trzeba było postępować delikatnie i z finezją. W obecnym stanie ducha najchętniej wcisnąłby jej siłą obrączkę na palec i niech diabli porwą całą finezję.

Cisnął ze złością skarpetki w ką i wyciągnął koszulę ze spodni. Sięgał akurat do pierwszego guzika, kiedy wydało mu się, że ma urojenie.

Pomacał za sobą. Jego palce natrafiły na książkę, którą miał zamiar przeczytać, a potem zacisnęły się na okularach do czytania. Szybkim ruchem włożył je na nos.

Nadal tam była. Stała naga w progu. Nimfa z męskich fantazji. Połyskliwe, czarne włosy muskające sutki, zaróżowiona skóra. Kropelki wody skrzące się jeszcze na trójkacie włosów na jej łonie, i ten blask oczu... gorący, pałający blask.

– Bree, kochana...

Nie odpowiedziała. Nie odezwała się słowem. Bezgłośnie, powoli przeszła przez pokój, stanęła przed nim i zdjęła mu okulary.

Małe, białe dłonie sunęły po jego torsie, pozostawiając za sobą rozpięte guziki koszuli. Trzeci guzik zaczepił się na nitce. Szarpnęła mocniej. Urwany, zatoczył łuk w powietrzu i trafił w abażur lampy po drugiej stronie pokoju.

Uwodzicielka była zbyt zaabsorbowana, by to zauważyć. Teraz jej uwagi nie odwróciłoby chyba umiarkowane trzęsienie ziemi. Była skupiona, poważna i zdeterminowana. Istniał dla niej tylko on.

– Kochana, nie musisz tego robić...

Aksamitne koniuszki palców przesunęły się delikatnie po jego ustach. Zrozumiał. Może i nie musiała tego robić, ale chciała. Wziął ją na ręce i położył na łóżku. Pochylił się nad nią i musnął wargami płatek jej ucha.

– Od kiedy to – szepnął – jesteś lunaticzką?

– Od bardzo dawna, Simonie.

– To najbardziej stresująca przypadłość pod słońcem.

– Tak.

– Na jakimś poziomie podświadomości czujesz, jakbyś czegoś szukała... czegoś bardzo dla ciebie ważnego. I lękasz się, że nigdy tego nie znajdziesz.

– Tak.

– Ja znalazłem to z tobą, Bree. To ciebie szukałem. Kocham cię. I nigdy, przenigdy nie pozwolę ci odejść.

– Simonie – szepnęła – beznadziejnie to zagmatwałeś. To ty jesteś główną

postać tego scenariusza. Twoim pierwszym niewybaczalnym błędem było przyjęcie pod swój dach podróżniczki, która zgubiła drogę podczas burzy. Drugi twój błąd, to otworzenie jej oczu na seks, jakiego nie знаła. A mężczyzna, który popełnia takie błędy, musi za nie drogo płacić.

Cholera, uśmiechał się. Uśmiechał, jak zadowolony z siebie chłopiec. Może nie zdawał sobie jeszcze w pełni sprawy, co mu sżykuje.

Pocałowała go i sięgnęła do suwaka jego spodni, odpięła go i powoli, bez pośpiechu ściągnęła mu dzinsy wraz ze slipkami.

– Bree...

Słyszała go. Chciał, żeby do niego przyszła. Nie musiała go uwodzić: był już jej.

Zresztą nie o uwodzenie jej chodziło. Pragnęła go kochać. Patrzył na nią, a w jego oczach rozpalał się płomień.

Rękami, językiem, całym ciałem pomagała mu się rozluźnić. Częściowo jej się to udało, częściowo nadal pozostawał beznadziejnie spięty. Wzmogła wysiłki. Pieściła go najpierw palcami, potem językiem...

I w końcu zaklął. Głośno, łamaną francuszczyzną. Bóg raczy wiedzieć, skąd znał te sprośne słowa i gdzie nauczył się tej okropnej wymowy, ale nagle poczuła, że spychają z siebie, przewraca na wznak i przygniata sobą.

– Będziemy musieli popracować nad twoim francuskim – mruknęła.

– Później.

– Zrobię wszystko – powiedziała z uczuciem – żebyś czuł się kochany.

– Nawet dobrze ci to wychodzi. Ale obawiam się, że w tej chwili skoncentrujemy się całkowicie na tobie, kochanie.

Opasała go nogami i z cichym jękiem rozkoszy przyjęła jego powolne, głębokie wejście w swe ciało, sądząc, że dobrze go zna, że wie wszystko o kochanku drzemiącym w Simonie. Dowiódł jej, że się myliła. Miłosny rytm, jaki narzucił, był znajomy, ale związana z nim magia głębsza, mroczniejsza, słodsza. Kochał ją, dopóki nie zapłonęła, dopóki jedynym celem nie stało się dla niej dawanie miłości temu mężczyźnie i bycie przezeń kochaną.

Wzniosła się na wyżyny, gdzie prawie się zatraciła. Ale odnalazł ją. Zabrał do miejsca tęczy i cudów, do miejsca, gdzie kobieta staje się wolna, gdzie ogień jest cichym, srebrzystym poszumem duszy. Tym miejscem było serce Simona. Dotarła do domu.

Simon wykrzesał z siebie wreszcie resztki energii i zgasił lampę. W chłodnych

ciemnościach, jakie zapadły, opatulił siebie i ją kocem, na którym do tej pory leżeli. Bree mu nie pomagała. Nie miała siły poruszyć ręką ani nogą.

– Czy wiesz – mruknęła leniwie – że to będzie pierwsza porządnie przespana noc od dnia, kiedy cię poznałam?

– Chcesz powiedzieć, że klimat Badlands ci nie służy?

– Chcę powiedzieć, że to problem wiążący się nierozzerwalnie z miłością do lunatyka. – Przysunęła się bliżej. – Niemal od początku przeczuwałam, że na twoją przypadłość istnieje stosunkowo proste lekarstwo. Kobieta. Kobieta, która tak wymęczy cię w nocy, żebyś nie miał już siły na spacer.

– Czy jest jakaś ochotniczka?

– Nie ja. Ja nie czuję się na siłach.

– No cóż, trzeba będzie się rozejrzeć za kimś innym...

– Tylko spróbuj. Zabiję *cię*, zanim dojdiesz do drzwi. Jesteś mój. I niech ci nie przyjdzie do głowy wykręcać się pod pretekstem różnicy charakterów.

– Różnicy charakterów?

– Tak właśnie z początku myślałam. Dopiero potem zdałam sobie sprawę, jak jesteśmy do siebie podobni. Obojgu nam leży na sercu los innych ludzi. Oboje byliśmy zagubieni. Naprawdę zagubieni. Nosimy tego samego rodzaju blizny, Simonie, a na – poziomie uczuć mamy ten sam rodzaj potrzeb. Znaleźć kogoś, komu moglibyśmy bezwzględnie zaufać. Kogo moglibyśmy bezwzględnie pokochać. Z kim moglibyśmy się czuć na tyle bezpiecznie, by wraz z nim dorastać i uczyć się.

– Dojście do tych wniosków zajęło ci sporo czasu, Reynaud.

– Bałam się, że mnie odtrącisz.

– Nie jesteś zbyt rozgarnięta.

– Ale ciebie znalazłam, może nie?

– No dobrze. Jesteś dosyć rozgarnięta.

– Bardziej rozgarnięta niż ty, Courtland – zapewniła go. – To ja pierwsza się w tobie zakochałam.

Nie odpowiedział. Na Bree, kiedy wpadła w ten czupurny nastrój, była tylko jedna rada. Chyba wcale nie była zaskoczona, kiedy pochylił się nad nią, unieruchomił jej ręce i spróbował zamknąć jej usta pocałunkiem.

– Miałam nadzieję, że będziesz chciał porozmawiać o... ślubie. Dzieciach. O planach.

– Będę chciał. – Boże, te oczy. Ileż w nich miłości. Nigdy sobie nie wyobrażał, że może być jej aż tyle. – Ale później.